

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Rocznie . (52 tomy) . rs. 10
Półrocznie (26 tomów) „ 5
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 ksp. 50
Za odnośnienie do domu 15 ksp. kwart.

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) rs. 6 kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów) „ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów) „ 1 „ 50

W skład „Biblioteki dzieł wyborowych“ wchodzi dzieła następujących kategorii:

1. Arcydzieła literatury powszechnej,
2. Dzieła beletrystyczne (powieści, poezye, podróże, najbardziej cenionych autorów naszych i zagranicznych),
3. Dzieła historyczne, szczególniej pamiętniki i opowiadania, dotyczące naszej przeszłości,
4. Dzieła popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin wiedzy współczesnej.

WYDAWCY

Granowski i Sikorski.

REDAKTOR

Franciszek Granowski.

Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Świat 47. — Telefonu 564.
F.ile: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki L. 4.

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Świat 47.

8. 8.
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 31.

NA ZGLISZCZACH

POWIEŚĆ WIEJSKA

Klemensa Junoszy

Z PRZEDMOWĄ

Teodora Jeske-Choińskiego.

ZBIORY PRYWATNE
W. M. Kowalik

Cena 40 ko

W prenumeracie 30%

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja:

47. Nowy-Świat 47.

1898

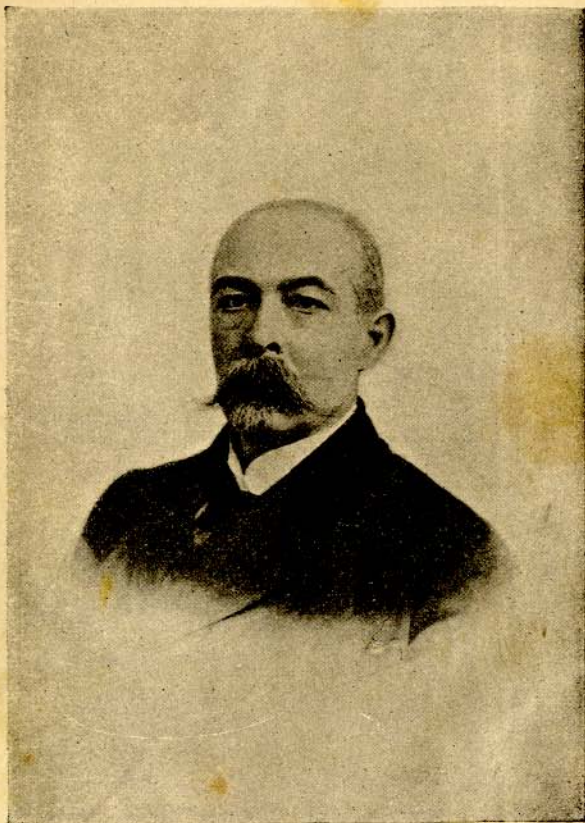
Dotychczas wyszły:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 2, 3 i 4. Bolesławita. **Tufacze**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Nuga*.
5. Gustaw Le Bon. **Psycholog'a rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- 8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księstwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
12. Jan Kochanowski. **Psalterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
- 14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perelka**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
17. Teodor Jeske-Choński. **Stłumione iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. **Perłata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studjum, z przedmową *Aleksandra Rembowski*.
20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.

Tom.

21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi** (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
 - 22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władystaw Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
 24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
 25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
 - 26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
 30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu**, z przedmową *Ignacego Matyszewskiego*.
 31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach**, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
-



Klementyna Junosza

ZBIORY PRYWATNE
W. M. Kowalik

Klementyna Junosza.

NA ZGLISZCZACH.

(POWIEŚĆ WIEJSKA)

Z przedmową

Teodora Jeske-Choińskiego.

*Własność
J. Zygm. Choińskiego
Zygm. Radziwiłła*

WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Апрѣля 1898 года.



103248

k-52/801 114619

PRZEDMOWA.

Komitet redakcyjny „Biblioteki dzieł wyborowych“ poniósł stratę niepowetowaną. Śmierć zabrała z naszego grona Klemensa Junoszę - Szaniawskiego, znakomitego autora „Pająków“, „Łaciarza“, „Panów Braci“ i całego szeregu nowel i powieści, osnutych przeważnie na tle stosunków wiejskich.

Jakkolwiek Klemens Junosza był dzieckiem miasta (urodził się w Lublinie dnia 23 listopada 1849 r.) i kształcił się i żył przeważnie w miastach (w Lublinie, Siedlcach i Warszawie), należał on sercem do wsi, którą kochał szczerze, o której marzył, pragnąc wypocząć po trudach pracowitego życia wśród jej pól rozległych. W potomku rodziny szlacheckiej odezwały się z wielką siłą instynkty rasy, z której wyszedł.

Odbywszy nauki średnie w gimnazyach: siedleckim i lubelskim, urzędował Klemens Junosza przez krótki czas w Izbie Obrachunkowej, następnie mieszkał przez kilka lat na wsi, w Woli Korytnickiej pod Węgrowem, zkad przeniósł się (w r. 1877) na stały pobyt do Warszawy.

Warszawska biografia Junoszy nie jest materiałem do zajmującej powieści. Nie złożyły się na

nią niezwykle wypadki i tryumfy, burzliwe przygody i barwne podróże. Szara, monotonna, jak szara i monotonna jest dola pisarza polskiego, walczącego z piórem w rękę o byt powszedni, upadającego pod nadmiernym brzemieniem obowiązków, zamyka się ona w ramach trzech wyrazów: bezustanna, uciążliwa praca.

Pociąg do pióra odezwał się w Junoszy bardzo wcześniej, już bowiem w r. 1871 pomieszczały warszawskie „Kolce“ jego wiersze i korespondencje. Sam jednak Junosza liczył swoją służbę publiczną dopiero od roku 1874, od stałego współpracownictwa w „Kolcach“.

Osiadłszy w Warszawie rozwinął Junosza bardzo rozległą działalność dziennikarską. Pisywał bardzo dużo, do różnych czasopism: do „Echa“, „Kółców“, „Kuryera Świątecznego“, „Wieku“, „Słowa“ i „Kuryera Warszawskiego“. Znając z doświadczenia osobistego wieś i jej potrzeby, uprawiał głównie dzieła spraw wiejskich, który redagował w „Wieku“ z zamięłowaniem i z niepospolitą starannością.

Pierwsza książka Junoszy, obejmująca cztery powieści i nowele („Na Zgliszczach“, „Laciarz“, „Pułkownik“, „Spełnione Marzenia“), wyszła w roku 1884 p. t. „Z Mazurskiej Ziemi“.

Tłem tych nowel i powieści jest przeciętna wieś polska z jej pospolitemi radościami i smutkami, z jej ubogim krajobrazem i ciągłą biedą. Drobniejszy szlachcic, chłop, rozmiłowany w ziemi jak w ko-chance, żyd, medytujący w karczmie, jak wyzyskać trudne warunki szlachezca i ciemnotę chłopca, powtarzają się u Junoszy w najrozmaitszych odmianach. Pałaców zamożniejszych ziemian nie lubiła widocznie i nie znała jego obserwacya, rzadko bowiem potra-cał o te sfery. Poruszał się on swobodnie tylko na szarem tle małych dworców, chat i karczem.

Nie sam Junosza upodobał sobie w literaturze

współczesnej maluczkiej tej ziemi. I autorowie inni malowali i malują ze szczególną miłością ubogich, ale jeden tylko autor „Laciarza“ szukał w trosce i bólu przeważnie ich stron dodatnich, jasnych. Jego drobna szlachta, ekonomi, rzemieślnicy, chłopci, żydzi znoszą zwykle z uległością posłusznych dzieci trud ciężkiego życia, wdzięczni losowi za najkrótszy, naj-bledszy uśmiech. Najpospolitsze szczęście, najmniejsze powodzenie wraca im wiarę w lepszą przy-szłość.

Na ten jasny koloryt, rzadki w epoce przeróż-nych „zropaczonych“, w czasach, w których ubó-stwo równa się kalectwu, ciężkiej chorobie, zniena-widzone przez wszystkie warstwy, złożyły się dwa rysy znamienne indywidualności Junoszy: optymizm i humor. Optymista odnajdywał nawet w brudzie nędzy złote błyski, humorysta bawił się nawet ni-kiemnością ludzką.

Pobłażliwość Junoszy dla ludzkich wad i ludz-kiej złości występuje najplastyczniej w jego obraz-kach żydowskich.

Autor „Pająków“ znał wyzysk żydowski najle-piej z pomiędzy wszystkich autorów współczesnych, bo z teoryi i ze smutnej praktyki. Ścigany przez całe życie, aż do ostatniej chwili, przez lichwę, wi-dział dokoła siebie ciągle prawdziwych artystów kun-sztu przetapiania nieopatrzności bliźniego na złoto. Przed trybunałem jego obserwacyi przesunął się cały legion „pająków“, a niejeden z nich zapisał się trwa-le w jego pamięci.

Ktoś inny, mniej pobłażliwy, byłby wysnut z tych niewesołych studyów ponure tragedye, ale optymizm Junoszy, połączony z humorem, chwycił najchętniej tylko komiczne rysy lichwiarzów.

Wszystkie swoje obserwacje i smutne doświad-czenia, odnoszące się do wyzysku, zebrał i uporząd-

kował Junosza w dwóch większych powieściach: w „Pająkach“ (1884 roku) i w „Czarnym błocie“ (1895 r.). W pierwszej odmalował lichwę miejską, w drugiej wiejską.

W dziełach tych rusza się, biega, wrzeszczy, kłamie, zaklina się na zdrowie swoje i dzieci, na szczęście żony i rodziców, na zbawienie duszy, wielkie mnóstwo pajaków i pajaczków ludzkich. Każdy z nich zapewnia, iż ma zamiary najczystsze, a każdy czycha tylko na lekkomyślność i biedę bliźniego.

Zdawałoby się, iż przedmiot tak nawskroś tragiczny, nie nadaje się bynajmniej do jasnych malowań, iż trudno z kałuży społecznej wydobyć wonne kwiaty humoru. Ale dobre, optymistyczne serce Junoszy umiało nawet tło tak ponure rozjaśnić szeregiem uśmiechem.

Pisarz, wyzyskiwany przez lichwiarzów, bawił się nimi wybornie z nieopatrznością dawnej szlachty polskiej. Rysy ich komiczne chwycił łatwo, szybko i wcielił po mistrzowsku. Oprócz Jankła Pacanowera („Na Zgliszczach“), który należy w naszej literaturze do najlepszych typów żydowskich, stworzył całe wojsko: arendarzów, pachciarzów, drobniejszych kupców zbożowych, faktorów, a z każdej z tych postaci, pozornie do siebie zupełnie podobnych, umiał wydobyć jakiś nowy szczegół. Nawet o „pająkach“ w spółnicach nie zapomniał. Piękna Malka Fiszowa („Czarne błoto“), wyzyskująca Don Żuanów wiejskich, jest jego wyłączną własnością.

Poznawszy żydów z praktyki, postanowił Junosza przypatrzeć się zblizka ich literaturze ludowej. W tym celu nauczył się żargonu i przełożył na język polski dwa dzieła S. Abramowicza: „Don Kiszota żydowskiego“ (1885 r.) i „Szkapę“ (1886 r.).

Zwykle zaliczano Junoszę do antisemitów. Było to mniemanie mylne, nie dlatego bowiem malował

autor „Pająków“ z taką przyjemnością żydów, że ich nienawdził, lecz dlatego, że ich znał najlepiej. Antisemita nie byłby otoczył nędzy Judki Silberknopfa, „krawca warszawskiego, na całe Łosice i wszystkie okoliczności“ („Łaciarz“, 1884 r.) aureolą serdecznego współczucia.

Junosza nie schlebiał żydom, nie idealizował ich, nie pomijał ich wad i przywar, ale nie znęcał się także nad nimi. „Nieszczęśliwy i uczciwy był dla niego nieszczęśliwym i uczciwym, bez względu na to, z jakiej rasy pochodził.

Do drobnej szlachty („Panowie Bracia“), chłopów i żydów przybyło w Warszawie kilka nowych typów. Ale i w wielkiem mieście szukał Junosza głównie ludzi szarych — wyzyskiwanych, przeciwstawiając im wyzyskujących. Bogactwo, dostojność, sława, szersze sprawy społeczne, gwałtowne namiętności, wytworniejsze cierpienia umysłowe nie zajmowały jego tkliwego serca, oddanego tylko małuczkim tej ziemi.

Optymista, wybierał najchętniej ludzi dobrych, a jeśli mu wypadło potracić o charakter ujemny, wówczas przywoływał do pomocy humor, łagodził, zacierał kontury ostre, usiłując wywołać uśmiech tam, gdzie należałoby płakać łzami gorzkiemi.

Lecz pobyt w wielkiem mieście, wśród bezustannej walki o byt, przykrej, szarpiącej nerwy, znużył w końcu nawet optymizm Junoszy. Pod koniec życia odzywają się w nowelach i powieściach autora „Pająków“ coraz częściej zgrzyty satyryczne i kłania stłumione. Typem tych płodów znużenia fizycznego i umysłowego jest „Syzyf“, napisany w r. 1891-ym.

Klemens Junosza nie doczekał się nawet dwudziestopięciolecia swojej działalności autorskiej. Na samym progu jubileuszu padł, zdruzgotany nadmierną pracą i troską nad siły ludzkie. Umarł dnia 21

marca, w Otwocku, w sanatorjum dr. Geislera, w 48-ym roku życia, do ostatniej chwili czynny.

Wydając w „Bibliotece dzieł wyborowych“ jedną z jego najlepszych powieści wiejskich: „Na zgłiszczach“, składamy hołd szczeremu uznaniu członkowi naszego komitetu redakcyjnego i utalentowanemu pisarzowi, który zasłużył sobie szeregiem dzieł znakomych na wdzięczną pamięć potomnych.

Teodor Jeske-Choiński.



Przawilo się słońce na zachodzie. Zapadało ono za las, rzucając na niebo odbłask czerwony, jak luna odległego pożaru.

Chłopi mówili, że się wietrzny dzień zapowiada na jutro, a mieli słuszość naprawdę, bo już to nie od dzisiaj wiatr szalony się miotał i wiał biednym ludziom wprost w oczy; zdzierał poczerniałą słomę ze strzech, a wyl tak szkaradnie, jak zgłodniałe wilczysko wśród zimy.

Kalendarz mówi, że jest wiosna, ale jej znać nie było — taka jakaś żalobna i zapłakana przyszła w tym roku. Na polach pokazał się pług tu i owdzie, wychudzone bydło ciągnęło z pastwisk, skowronek śpiewał wprawdzie, ale nikt mu nie wtórował na ziemi, bo nie do śpiewania było ludziom w tych czasach.

Smutnie szumiała złota wierzba nad wodą i brzoza przy gościńcu, a między ludźmi znać było przygnębienie ciężkie. Były całe obszary pól leżących odlogiem, zaniedbanych oddawna. Pług nie tknął ich na jesień, nie ruszył teraz na wiosnę, to też stwardniały one i zielskiem porosły. W lasach

tylko rozlegał się łoskot siekier, bo drzewo było za bezcen, a spekulanci umieli z chwili korzystać.

W owych to czasach sekwestratorowie i komornicy zajeżdżali konie, tyle mieli zajęcia i pracy. Ziemia była tania, lecz nikt kupować jej nie chciał. Gdziekolwiek dopiero ukazywały się pierwsze awangardy kolonistów niemieckich, za którymi później dopiero nadciągnąć miały długie szeregi wozów, pełne nowych obywateli...

Krwawiło się słońce na zachodzie—a przy jego promieniach, niebawem już zgasnąć mających, widać było niewielką, na wzniesionym brzegu rzeki rozrzuconą wioseczkę. Stara to wieś była. Chaty niewielkie, w ziemię już potrosze zapadłe, ze strzechami mchem zielonkowatym porośłe, kryły się w ogródkach, w których czereśnie zaczynały się właśnie białym kwieciami pokrywać.

Na końcu wsi, jak zwykle, stała karczma wielka, drewniana, z ogromną szopą dla koni, z pozieleńnięmi oknami, w których braki szyb przemyślny arendarz gontami i papierem uzupełnił.

Widać ztąd było czerwone mury spalonego niedawno folwarku, otoczonego rzędem topoli balsamicznych; dalej rzekę, szerokie łąki nadbrzeżne i biały kościółek w sąsiedniej wiosce.

Przed karczmą stał arendarz, Jankiel, w wytartym kamlotowym żupanie—i z żywą gestykulacją usiłował wytłómaczyć coś staremu chłopu, powracającemu właśnie z kuźni z zaostrzoną siekierą.

W chwili, w której żyd najbardziej się zapalił i widocznie najsilniejszego używał argumentu, szybkim pędem wjeżdżał do wsi szczególniejszy ekwipaż.

Była to bryczka niepomiernej długości, zaprzężona w trzy rosłe, doskonale utrzymane konie; dwoje źrebiąt biegło obok bryki luzem, a z tyłu dążyły przyłączone dwa dwuletnie źrebce.

Przed bryką, z głośnym szczekaniem pędziły trzy duże wyżły, niby laufry, zapowiadające przyjazd pana. W tym ekwipażu siedział mąż o bardzo śrogiem spojrzeniu i brwiach zmarszczonych. Odziany był w burkę sławucką, a na głowie miał kaszkiet z lampasem.

Gdy ekwipaż karczmę mijał, Jankiel ukłonił się kilkakrotnie do samej ziemi z bardzo uprzejmym uśmiechem, a chłop z przyzwyczajenia czapkę zdjął i odkrył głowę, pokrytą długim, gęstym, ale jak mleko białym włosiem.

— Nu, patrzajta Marcinku, czy ja wam nie mówiłem? co! ja wam powiedziałem, co un teraz trzy grosze niewarte!

— Niby kto?—zapytał chłop, nakładając czapkę powoli.

— Niby kto! kto? wy sobie pytacie kto? ja wam dwa godziny gadałem kto! a ten sobie jeszcze pyta: kto? Jak wy tego nie możeta zmiarkować, Marcinie! a wieta wy, kto tera pojechał?

— A kto?

— Un znowu sze pyta! Widzielišta przecie, że sam wielmożny nasz pan sekwestrator! A czy wy miarkujeta, Marcinku, gdzie un pojechał?

— Gdzie? pewnie na jarmark z temi koniami.

— Ny, ny — un tam na dworze zrobi dobrego jarmarku, cale licytacye nawet!

— To bez to on tyła koni prowadzi?

— To znowu jest inna chwestya. Ten pan, to trzeba wam wiedzieć, niema żadne żone, ani swoje służbc, tylko co jednego furmana, to bez to un nie może ostawić w domu swój dobytek, więc zabiera jego ze sobą—un zawsze tak jeździ, może dlatego, coby jemu buło weselej, a może tak sobie dla swoje fanaberye, to jego nie bardzo drogo kosztuje. Ny, ale co nam do tego, ja wam tylko powiadam, że my możemy zrobić bardzo dobry interes!

— A jakize to?

— Oj, żeby ja takie szczęście miał, jakie wy macie ciężkie głowe, mój Marcinie, ja sobie nawet dżywuje, co was sołtysem zrobili z takim głowem! a może jeszcze na wójta was wy kierują!

— Ha, jak wypadnie być—to się i będzie.

— Oj waj, będzie! a co wy będzieta z kancelaryą robili, kiedy wy nie wieta, co z pieniędzmi robić? A wy macie, Marcinku, pieniądze, ładne pieniądze macie!

— Musi rachowałeś, zydzie, moje pieniądze?

— Za co ja miałem rachować? wasza niewiastka gadała, co macie z półtorej ćwierci rubłów, same białe, jak perły, aj, żeby to ja miał w swoim majątku! Ale co tu próżne gadanie gadać? ja wam powiadam, Marcinie, co to wszystko, jak widzita w koło, może być nasze, za bardzo tanie pieniądze. Kupny do współki, wy dacie pieniądze zara—ja dam trochę później. To jest fajn interes! ja wam oddam wszystkie gruntów, a sobie wezmę tylko trochę las, trochę młyn i trochę propinacye. Reszta będzie wasza, jakbyśta na drodze znaleźli. prawie za darmo wasze będzie! Chodźta do izby, zara wam lit-

rup sprawię, mam taką fajn pieprzówkę, co aż oko zbieleje?

Chłop usiadł na ławce, żyd wciąż nastawał.

— Ny, co to wy tera nie pan? nie obywatel?

— Ja tam chłop z chłopów, gospodarski syn—odpowiedział, nie bez pewnej dumy, Marcin.

— Może wy sobie miarkujecie na nich — rzekł Jankiel, ręką na folwark wskazując — ny, a co z tego? Uni kapcany są, uni bankruty! wy może jeszcze czapkę przed niemi będzieta zdejmować? Za co? Ja tyż jestem bardzo miłosierny i mam także miękkie serce, ale jak kto kapcan, to na co jemu miłosierność? Jemu miłosierność tak pasuje, jak groch do ściane! Ny, jak wy miarkujecie z tym interesem, Marcinie? Ja zawdy myślę, co my ich kupiemy.

— Albo to cłek bydlę, żeby go kupować?

— Ja wam powiem, co niema gorsze głupie bidło, jak człowiek, co sam ze swojej garści szczęście wypicha.

Żachnął się chłop.

— Ej! cichoj, ty cyganie! bo jak cię zamałuję, to ci się sądny dzień przyśni.

— Co wy zrobicie zabójstwo? co to jest! gwałt! ja was do sądu zaskarżę!

— A to skarż, bestyo — mruknął ponuro chłop i już chciał odejść, ale żyd za rękaw go chwycił.

— Za co my sobie mamy gniewać? my zawsze przyjaciele byli. Mój Marcinie, panie Marcinie! panie gospodarzu! od takie porządne i godne osobe to nie żal nawet paskudne słowo usłyszeć. Ja wam sprawiedliwie powiadam, co całe Zarzécze może nasze być!

— A oni?—rzekł cicho chłop.

— Jakie uni? gdzie jest uni? już ich wcale niemal. Czekałta, ja wam porachuję wnet na piśmie. Siła ich było wszystkich? całe paradę sześć—no, patrzcie, ja tu piszę na ścianie sześć kressek. Raz, dwa... sześć. Widzita sześć!

— Dyc je sześć, rzetelnie.

— Pierwsza kreska, to dziedzic, gdzie un jest? Jemu niema.

— Nieprawda, bo je za granicom, czy za morzem gdzieś.

— No, to idźta po niego i przynieśta go ztamąd na plecy. Ha! ha! wieta wy, gdzie un jest? Nasze żydki gadali, co un powędrował aż za Warsiawe do sama Ameryka i co un tam u tego Ameryka za stróża jest. Ny, tera patrzta, dziedzic ferfall mażę jedną kreskę. To już tylko pięć!

— Pięć—powtórzył chłop.

— Tera dziedziczka, to także jakby jej nie buło...

— Kiej je, Bogu dzięki.

— Czekałta, nie bądźta w takie gorące wode kapane! Naprzód, kobieta to sze rachuje tylko za połowę człowieka, to już można pół kreski odmazac; a po drugie, powiedzcie mi, czy pół człowiek można rachować za cały człowiek? czy za pół rubla da kto całego rubla? za pół grosza czy jest cały obwarzianek? No, gadajcie jest, czy niema?

— Ha! juści pewnie, że niema.

— No, to już druga kreska; a tera jest troje dzicców, to nie warto nawet rachować. Uni pójdą do swoje familie, dostaną adukacye, będą panamil

ra słusznie mogła być szczytem marzeń dla włościan zarzeckich, mających sianożęcia niskie i zalewane prawie corocznie.

Kto zna naszych włościan, zwłaszcza przy układach i interesach pieniężnych, nie zadziwi się wcale, iż Dyrdejko z siebie kapotę zrzucił i czoło fularową chustką ocierał. Wymyślać on musiał tysiączne kombinacye, tłómaczyć, perswadować, krzyknąć nawet, udawać, że układ całkiem zrywa. Jan nie chciał brać kawalka łąki nad brzegiem, Maćkowi dostawało się trochę krzaków, na polku Onufrego duże dwa kamienie leżały, Michałowi znów przy drodze działek wypadał... Ładu dojść z nimi nie było sposobu!

Ale i stary Gajda nie próżnował. Wyczęstował wszystką tabakę z tabakiery, uderzał kumów i swatów w dłonie, że im aż puchły, aż nareszcie doprowadził do zgody.

Dobrze już po północy było, gdy na krótkim kontrakcie, przez Dyrdejkę spisany, chłopci znaki krzyża kłaść zaczęli, poczem każdy woreczek z za sukmany dobywał, odwracał się i liczył z trudnością, powoli, pilnie każdy papierek przeglądając.

Rozweseliły się twarze, gwarno się w stancyjce zrobiło, Dyrdejko targu solennie dobijał, każdego w dłoń uderzał, szczęśliwych urodzajów i zbiorów pomyślnych życzył i nawzajem też życzenia odbierał. Poczem z szafki duży gąsior wydobył, wódki się z niego napił i chłopów częstował. Dla większej ważności kupna w oczach tych ludzi prostych, poszedł Dyrdejko do dworu i panią Karolową poprosił. Czuwała ona jeszcze i czekała na rezultat układów. Nie

do snu jej było. Przewracała machinalnie karty jakiejś książki, lecz myśl jej błądziła daleko, a czarne, zażawione oczy nie widziały ani liter, ani kart książki. One usiłowały przedrzeć się przez mgłę oddalenia i niepewności i pobiedz w obce strony, za myślą, za tęsknotą do ukochanego męża.

Gdy pan Fulgenty drzwi otworzył, wstrząsnęła się nerwowo, jakby przestraszona, i zwróciła ku niemu spojrzenie w pół pytające, w pół trwożne.

Z twarzy jednak starego nie można było nic odgadnąć. Był zimny, spokojny, jak zwykle.

— Trzeba — rzekł — żeby pani poszła do nich takż, podziękować chcą...

— Więc skończone?

— Załedwie.

W milczeniu wyciągnęła rękę, którą zmużdżin szczerze w swej żylastej dłoni uściśnął. Zarzuciła chustkę na ramiona i do oficyny poszła.

Chłopi skłonili się nisko i dziękowali za sprzedaż. Ona życzyła im pomyślnej pracy na nowonabytych fortunach i zbiorów świątecznych.

Po chwili Marcin, który w gromadzie słusznie poniekąd za przewodyrę i kierownika był uważany, rzekł, że już „północkowe kury pieją“ i że do domu czas. Z ukłonami i życzeniami chłopi zaczęli pokoić Dyrdejki opuszczać. Marcin odprowadził panią aż na próg dworku, a potem za gromadą ku wsi podążył.

Fakt zgromadzenia się chłopów na dworze, w celu nabycia gruntów, wywołał wrażenie niemałe. W całej wsi, oprócz dzieci, nikt nie spał i w każdej chacie migotało światło. Baby oczekiwały na mężów,

aby się dowiedzieć o rezultacie układów. Dziewuchy, którym uśmiechała się nadzieja zamążpójścia, i chłopcy starsi, cieszyli się z powiększenia ewentualnej sukcesyi po rodzicach. Najbardziej jednak zajęтым, najbardziej tym nagłym zamiarem kupna gruntów dworskich zainteresowanym był, jak się zresztą łatwo domyśleć, pan Jankiel Pacanower.

Dowiedziawszy się, że chłopci nad wieczorem mają iść do dworu, już od południa biegał po wsi jak szalony, chłopów odmawiał, kobiety przeciw nim buntował, żeby nie pozwoliły na kupno. Nie udały się wszakże zabiegi, bo wpływ starego Gajdy był większy, a sam interes zbyt korzystny, żeby chłopci mogli tak łatwo od niego odstąpić.

Nie dziw więc, że był imć pan Jankiel w fatalnym humorze, tem więcej, że i kontrakt dzierżawy propinacyi w Zarzeczcu za parę miesięcy ekspirował. Z kim innym możnaby na to poradzić, dać dzierżawę za kilka lat z góry i zostać przy karczmie — ale z Dyrdejką wogóle sprawa była trudna... Widział więc żyd wielkie prawdopodobieństwo konieczności opuszczenia Zarzeczca, po którym tyle sobie obiecywał! Wszakże miał niezadługo zostać właścicielem tego folwarku, już poczynił nawet odpowiednie kroki, miał wspólników na las, na młyn, ba! nawet o dzierżawcach ogrodu owocowego już pomyślał — a tu naraz widzi się straconym ze szczytu marzeń i przez kogo? przez prostego chłopę, za którego rozum i przebiegłość złamanego szeląga daćby nie chciał.

Biegał Jankiel po wielkiej izbie szynkowej, za brodę się targał, a tak był roztargniony i myślami własnymi zajęty, że wędrownemu druciarzowi, który

wszedł do karczmy wypożać i wódki zażądał, rzetelnie cały półkwaterek odmierzył, co mu się jeszcze od urodzenia nigdy nie zdarzyło.

Ciągle do okna przybiegał, brudną szybkę przecierał i patrzył, czy nie wracają ze dworu. Łudził się nadzieją, że się układ odwlecze, a w takim razie on się postara, ażeby go zerwać, ale na to potrzeba trzy dni czasu przynajmniej.

— Trzy dni! trzy dni! to majątek! — mówił do siebie i za brodę się targał.

Miarkując, że już około północy być musi, nie mógł dłużej nad ciekawością zapanować i poszedł w stronę dworu.

Akurat, w środku wsi prawie, ujrzał powracającą gromadę, na czele której szedł Gajda.

— Aj waj! — zawołał z przekąsem — musiała was dziedziczka na herbatę zaprosić, kiedyśta do północka we dworze sobie siedzieli. Macie recht, moje ludzie, coście sobie zabawili trochę, bo tam już dawno żadne goszczów nie było.

— Musi ty załujes, żeś nie był — odezwał się chłop jakiś z gromady.

— Wielgie mecyje herbata! niby to mnie pierwszyna? żeby ja miał tyle tysięcy, wiele ja u różnego hrabstwa wypił herbatę z arakiem? albo czy wy się znacie na tego! To nie do chłopskie gębe taki delikatne jadło!

— Widzita go, jak delikatny, bestyjo, jak jangielski psiocek.

— Niech un będzie jangielski, ale co wyšta tam robili we dworze?

— Kupiliśwa gruntu, łąków i tyło! — zawołał nie bez pewnej dumy jeden chłop.

— Ny, ny, za co nie? wy tera wielgie panowie! obuwatele! a more morajne! wy niedługo nie zechceta gnój wozić, jeno samych dobrów kupować! A kto będzie ziemię orał? kto będzie snopków młócił? kto pójdzie, za pozwoleniem, to paskudne stworzenie paszcz? kiedy wy takie wielgie obuwatele, co handlujecie z dobrami!

— Zydów se do roboty najmiewa — odparł spokojnie stary Gajda.

Jankiel cierpliwość tracił.

— Tak! tak! — krzyczał — a wy będzieta za żydów? ładne żydy z was będą! niech moje wrogi takie szczęście nie widzą! To wy, Marcinie, jesteście pierwszy machenik do tych interesów, ale pamiętajta wy sobie: kto chce psa uderzyć, to kija zdybie.

— Wiadomo, ale kij ma dwa końce.

— Ny, ny, was sąd z obydwoma końcami obje i jeszcze na kryminalu was wsadzi.

— Coś ty zgłupiał?

— To wy bardzo sobie zmadrowali; wy myślieta, co ja nie mam świadki, jako zrobiałem z wami współkę? Nie bójta się; moja żona stojała przy oknie i te dwa żydy, co sobie na jarmark jechali, uni przysięgną na sumienie, co wy mieli ze mną współkę.

Roześmiał się chłop.

— To je prawda rzetelną — rzekł.

— Słuchajta, słuchajta, gromada! un sam nie zapiera, powiada, że się zgodził na współkę!

— Bo juści tak. Mieliśwa kupić het cały folwark, ja miałem wziąć grunt...

— Ny, tak, ja wam mówiłem, co wy weźmie-
ta grunt, a mnie sze ostanie trocha las, trocha młyn
i trocha te kiepskie propinacye, co nic nie warto jest.

— To tez ja tak zrobilem. Ja se z gospoda-
rzami kupilem krzynkę gruntu, a ty se kup cały las,
cały młyn i całą propinacyą, skoro twoja wola. Bro-
ni ci kto?

Gromada wybuchnęła śmiechem. Jankiel splu-
nął i klnać półgłosem, pobiegł napowrót do karczmy.

IV.

Nadszedł koniec maja. Na liściach drzew drga-
ły jeszcze krople przelotnego deszczu, a słońce, wy-
chyliwszy się z za chmury, która przed tchnieniem
wiatru uciekła, zdawało się uśmiechać dobrotliwie do
ziemi, do ludzi i do zgłiszczy zczerniałych. Na po-
lach wznosiły się już zielone ściany żyta i pszenicy;
owies i jęczmień powschodziły ładnie, a na łąkach
miliony drobnych kwiatków wychylały główki z po-
śród trawy.

Na ugorach bydło się pasło, z oddalenia docho-
dziły odgłosy fujarek pastuszych, zlewające się w je-
den harmonijny akord ze śpiewem ptactwa i łagodnym
szumem liści. Była w całej pełni wiosna, ta wiosna,
co rozsypuje hojnie lilie i róże, obrzuca bukietami
bzy, jaśminy i czeremchy i wlewa w dusze stęsknio-
ne — nadzieję.

Na folwarku w Zarzeczcu bielily się świeżo ob-
robione belki, tracze na warsztatach drzewo tarli,
a kilku gonciarzy, których z po za ogromnej sterty
wiórów i strużyn ledwie co widać było, pracowało
z pośpiechem.

Stary żmujdzin uwijał się wśród gromadki ro-
botników i z domorosłym budowniczym — cieślą,

obliczał długość i wysokość projektowanych budynków.

Czas naglił. Na jesień już stodoły, obory, stajnie i śpichlerzyk pod dachem stanąć musiały, a tymczasem inwentarz mieścił się w skleconych naprędce barakach.

Skromne bardzo, niewykwintne budyneczki wznieść postanowiono — lecz i te, na owe ciężkie czasy, kosztować miały dość drogo, i musiał pan Fulgenty dobrze głową kręcić, żeby przeznaczonego na ten cel funduszu nie przebrać.

Oszczędność konieczną była, gdyż gotówki wciąż brakło, a wydatków było mnóstwo. Indemnizacya i fundusz ze sprzedaży gruntów poszły na spłatę nagłych wierzytelności hipotecznych, wywłaszczeniem grożących; zaś osobisty kapitalik pana Fulgentego zażegnał grozę sekwestratora i służyć miał zarazem do przeprowadzenia gruntownej, a nieuniknionej w gospodarstwie reformy.

Sypiać Dyrdejko nie mógł, tyle miał różnorodnych spraw do załatwienia, a przez ten czas głowa jego, a raczej nieokreślonej barwy czupryna, coraz bielezgo nabierała koloru.

Gdy inni w podobnym położeniu będący ziemianie szukali ratunku w bajecznie taniej sprzedaży lasów, lub też w najbardziej uciążliwym kredycie lichwiarskim, gdy sprzedawali zboże na dwa, trzy lata naprzód, Dyrdejko przewidujący, ostrożny, może do zbytku podejrzliwy nawet, wyrobił sobie zupełnie inny system ratunku i obrony, a mianowicie oparł się na chłopach.

— Ratujmy życie — mówił nieraz do pani Ka-

rolowej — a później także pomyśleliśmy o zdrowiu; trupowi lub konającemu nie pomoże już żadne lekarstwo, a osłabienie chwilowe da się nawet dobrem powietrzem usunąć.

Z wierzycielami trzymał się ostro, żadnych ulg i prolongacyj, kosztem wysokiego procentu, zyskiwać nie chciał, a w przeprowadzeniu raz wytkniętych planów konsekwentny był i stanowczy, uparty nawet.

Plany jego były proste i wcale nie skombinowane. Według jego mniemania, grunt i podstawę ratunku stanowiła robocizna. Szło mu więc o to, aby tę roboczną mieć, a grosza gotówki na nią nie wydać, bo gotówka znów potrzebną była na pomnożenie liczby inwentarza, na narzędzia. Więc też z chłopami w różne kombinacje wchodził; powypuszczał im pastwiska, posprzedawał drzewo na budowlę, a wszystko na odrodek, tak, że kiedy sąsiedzi myśleli jeszcze, z kąd na dokończenie zasiewów pozyczyć pieniędzy, on już o żniwa był zupełnie spokojny.

Gospodarstwo po staremu, rutynicznie prowadził, ale pilnie u sąsiadów wszelkie inowacje obserwował, a gdy mu robiono uwagi, że nie stara się o postęp, odpowiadał z przekąsem:

— Chleb, dobrodzieju, przede wszystkim, chleb i kapota, a później także marcepany i fraczek!

Niektórzy śmieli się z niego, ale stary na to nie zważał — i swoje robił. Od świtu samego już na nogach był, wszystkich robót dojrzał, pola konno objechał, często też do miasta wpadł, aby interesa załatwić, bo nie lubił się nikim wyręczać i niedowierzał nikomu...

Wieczór nadchodził. Słońce kładło się do snu pogodne, uśmiechnięte jak dziecko; nad wodami brzęczały roje muszek drobniotkich, motyle uwijały się jeszcze nad kwiatami, korzystając z ostatnich chwil dnia. Lipy stare i klony szumiały w ogrodzie, a u stóp ich pokładły się cienie długie. Wiatru nie było prawie, jakaś błoga cisza panowała w powietrzu. Bocian powrócił na gniazdo z całodziennej wyprawy i klekotał radośnie.

W ogrodowej altance siedziała pani Karolowa i szyła jakąś sukienkę dla swej faworytki najmłodszej. Janka nie było, gdyż pomagał Dyrdejce w dozowaniu robotników; przy matce siedziała Helenka i wypracowywała jakiś nowy kostyum dla lalki, a Władzia biegała po ogrodzie i zbierała kwiatki.

Tylko proszę czytelnika nie posądzać tej młodej osoby, że zrywała kwiaty bez celu, li tylko dla przyjemności niszczenia. Nie — ona miała nawet plan bardzo jasno określony. Usiłowała zrobić prześliczną lalkę z samych kwiatów i z jednego patyka. Ta lalka miała mieć główkę z pączka róży, korpus z samych bratków, spódniczkę z kielicha lilii ogrodowej, a kapeluszek z narcyza! I byłaby z tego zrobiła się prześliczna osóbką — ale cóż? kwiaty nie chciały się trzymać patyka! Zmartwiona Władzia dała więc pokój lalce i zaczęła robić wianeczek, który miał służyć za obrożę dla pieska, ale w trakcie roboty zmieniła projekt. Zamiast obróżki dla pieska, postanowiła zrobić bigos dla mamy i to jej się najlepiej udało. Oskubała kwiatki, zmieszała je doskonale w fartuszkę i poszła poczęstować mamusię... Niegrzeczna mamusia nie chciała jednak jeść takiej doskonałej potrawy!

Pani Karolowa obejmowała dzieci spojrzeniem łagodnym, słodkim, które tylko w oczach matki dostrzedz można. Była w niem macierzyńska miłość, duma i obawa pewna o swoje skarby najdroższe. Często podnosiła wzrok od roboty i patrzyła na córki, a wówczas na drobnych, pobladłych jej ustach, osiadał uśmiech przelotny.

Właśnie już miała robotę składać i dzieci do pokoju zabrać, gdy furka ogrodowa skrzypnęła i w alei ukazał się Dyrdejko.

Wbrew zwyczajowi swemu, szedł powoli, z głową pochyloną, jak gdyby pod brzemieniem jakiegoś ciężaru.

Zbliżył się do altanki, kapeluszek uchylił i milczał czas jakiś. Nareszcie, zwracając się do Helenki, rzekł: — Weźmij ty, duszeńko, Władziunię za rączkę i do pokoju zaprowadź, tam Janek jest także... a jakiego ślicznego motyla złapał, żebyś wiedziała...

Dziewczynki coprędzej pobiegły oglądać motyla, pani zaś na starego oczy z wyrazem pytania podniosła.

Żmujdzin kapeluszek miał w ręku.

— Chciałbym jedną rzecz powiedzieć — rzekł.

— Słucham, panie Fulgenty.

— Ot, widzi pani, kłopot także...

— Czyż ich nie mamy ciągle?

— No tak... ale to...

— Nowy jaki?

— Nie, nie, nie lękaj się pani, to nawet nie kłopot, tylko głupstwo małe!

— Cóż więc?

— Jechać mnie w drogę potrzeba.

— Teraz? w tym czasie?

— Nawet na noc, żeby na ranny pociąg do kolei się dostać.

— Więc wyjeżdża pan koleją? ale dokąd? z jakiego powodu nagły?

Nie odpowiadał zaraz żmujdzin, pomieszany był, sam nie wiedział, co ma mówić.

— Ot, casus! — rzekł — pilno i dlatego chciałbym pani to i owo powiedzieć, na czem nieobecności mojej..

— Więc ta nieobecność dłużej ma potrwać?

— Bóg wie — dwa... może trzy tygodnie.

Kobieta powstała przełęczniona.

— Na miłość boską! panie Fulgenty, co się stało? mów, nie oszczędzaj mnie, najgorsza wiadomość lepsza jest od niepewności. Na honor cię zaklinam, panie, mów, dokąd jedziesz?

— Za... za granicę — wyjąkał Dyrdejko.

Kobieta za głowę się chwyciła.

— Karol! Karol! — krzyknęła rozpaczliwie i bezprzytomna prawie upadła na ławkę.

Żmujdzin, który w największych kłopotach i nieszczęściach radzić sobie umiał i nigdy krwi zimnej nie tracił, wobec spazmatycznego płaczu kobiety stanął jak oszołomiony i sam nie wiedział, co czynić.

Za rękę ją ujął i jąkał:

— Pani... pani kochanieńka! zmiłuj się, nie mdlej! No, dalibóg! cóż za dzieciństwo! nie bój się... nie płacz!

Widząc, że perswazyje nie pomagają, zerwał się nagle i pobiegł do dworu po wodę i po sól; słyszał bowiem kiedyś, że temi środkami trzeźwią zemdlone kobiety.

Przez drogę, zasapany, mrucał:

— Jezusie kochanieńki, ratuj! ach, te baby! te baby! także komedia z niemi!

Gdy o ile można najprędzej, zdyszany, z wodą i solą powrócił, pani Karolowa płakać przestała; przyjęła wodę podaną, napiła się trochę i prędko, urywanym, ale stanowczym głosem mówiła:

— Nie, nie! nie oszczędzaj mnie pan, mów prędko, cokolwiek się stało, ja muszę wiedzieć! ja powinnam wiedzieć! jestem jego żoną i matką jego dzieci, panie! ja muszę wiedzieć!

— Ja bo chciałem... — bąkał Dyrdejko.

— Pan mnie chciałeś oszczędzać, dziękuję ci za to, ale wolę pewność, mów, co się stało?

— Mała rzecz, chory trochę...

— Może umarł!...

— Na uczciwość, pani, nie obawiaj się — żyje.

— Miałeś pan wiadomości? kiedy?

— Od niedawna... list przyszedł.

— Od niego? pokaż mi pan ten list.

— Nie, pani, nie od niego, ale od jednego mego przyjaciela. No, nie rozpaczaj pani, powiem wszystko, powiem. Karol chory... ma skaleczoną rękę.

— Ale gdzie? w jakim wypadku? czy bił się z kim? broń Boże!

— Przypadek, pani... w fabryce. Zbliżył się nieostrożnie do maszyny, ręka jakoś dostała się w tryby, no — i wypadek!

— Boże! Boże! cóż to jest? same zagadki! fabryka, maszyny! ale cóż Karol miał z tem wspólnego?

— Uspokój się, pani, wszystko także porządkiem opowiem, tylko proszę obetrzeć oczy, proszę

nie płakać, bo dalibóg i ja takóž zglupieję do reszty przy tym lamencie...

Pani Karolowa białą, szczupłą rękę przycisnęła do piersi, jakby pragnąc uspokoić przyśpieszone bicie serca. Otarła łzy i głosem suchym, w którym jednak przebił się dźwięk rozpaczony, ukrytej w pozorowanym, sztucznie udanym spokoju, rzekła:

— O, mów pan, proszę, słucham, patrz pan, wszak jestem już tak spokojna...

Dyrdejko z przerażeniem na tę gorzką spokojność spoglądał. Widział, że twarz, na której tak niedawno jeszcze drgał wyraz życia, w tej chwili powlokła się trupią bladością, a oczy pałały dziwnym jakimś blaskiem.

Ujął panią Karolową za rękę zmużdżin.

— Pani droga — rzekł — wierz przyjacielowi staremu, straszego tu nic nie masz...

— Mów pan, mów, proszę.

— Wiesz pani, że obliczywszy nasze skromne środki, jakimiśmy mogli po przebytych katastrofach rozporządzać, przekonaliśmy się, że przy największej oszczędności, możemy posyłać Karolowi pięćdziesiąt rubli miesięcznie za ledwie.

— I pan posyłałeś je zapewne?

— Najregularniej — i co pani powiesz, najregularniej takóž odbierałem napowrót te pieniądze.

— Napowrót?

— Wszystkie co do grosza. Leżą one u mnie jak depozyt święty, jak legat z ostatniej woli pochodzący.

— Więc nie przyjmował ich Karol? dlaczego?

czy pogardził naszą pomocą? czy nie potrzebował jej może?

— Eh! pani droga! Nieszczęście to takóž szkoła wyborna — daje nam nauki tak mądre, jakich żaden pedagog nie udzieli. Szkoda tylko, że te nauki czasem za późno przychodzą...

— Panie, my odchodzimy od przedmiotu...

— Ani na włoszek nawet, pani dobrodziejko, a pierwszy na to dowód, że Karol pieniądze naszych nie chciał.

— Więc z czegoż żył? na Boga!

— Z pracy, pani, z pracy, z tej ciężkiej pracy, przy której potoczy zalewa i grzbiet takóž trzeszczy. Z tej pracy...

— I pan! pan, przyjaciel jego, pozwoliłeś na to?

— Ja? jabym jemu za to był ręce całował, bom widział, że dorósł, że mężczyzną stał się... człowiekiem takóž nakoniec.

— Czyliż nie uważałeś go pan za takiego poprzednio?

— At! co o tem gadać? Dzieciak był takóž, pani dobrodziejko — jak drudzy — dzieciak tylko, ale posłuchaj pani. Kiedy już na obczyźnie stanął, a osamotniony całą przeszłość w myśli przebiegł, kiedy zrobił obrachunek za te lata, które przeszedł już w życiu, zobaczył nul w bilansie! Null! null! czyli zero, jak wy nazywacie; jednym słowem, nic! Ja pani powtarzam wyrazy jego listu, który, jeżeli wola, przynieść mogę. To jego słowa własne.

Pani Karolowa oczy rękami zakryła. Dyrdejko zaś ciągnął dalej.

— Nie nauczońno mnie, pisał, nic — ale to lite-

ralnie nie, chociaż umiałem przecież to wszystko, co każdy człowiek mojej pozycji towarzyskiej u nas umie, a kiedy się znalazł wśród obcych, kiedy dałem sobie pytanie: „co robić?” — ujrzałem z przerażeniem, że ja nic nie umiem!

— Zkąd jemu takie myśli?

— Poczekaj pani, pamiętam ja te listy, nie zapomniałem żadnego wyrazu. Ach, mój Fulgenty, braciszku, pisał Karol, jak smutno dojść do przekonania, że się jest... piątem kołem u wozu! Nie mogłem dostrzedz tego przy łagodnym i jasnym świetle pogodnego słońca, lecz dojrzałem wyraźnie przy oślepiającym blasku błyskawic, wśród grzmotu i ognia piorunów! Rozumiesz pani, jak on to powiedział: wśród ognia błyskawic i piorunów!

— Ja tego nie rozumiem — szepnęła kobieta.

— Ależ pani, to jasne jak słońce! tak się budzi z uśpienia dusza zacna, serce prawe, charakter mężki! lecz, czekaj pani, jeszcze kilka słów. Tak pisał d'a'ej: i kiedy dziś z moich oczu bielmo spadło, ty także, przyjacielu wierny, upokarzasz mnie zasilkim, jałmużną!

Z piersi pani Karolowej dobyło cię ciężkie westchnienie.

— Mów, mów pan dalej — rzekła.

— I od kogóż mi ty, braciszku, tę jałmużnę przysyłasz? czy od kobiety nieszczęśliwej, co sama jedna na gruzach dawnego majątku została? Czy od dzieciątek drobnych, pół-sierot już prawie? Nie! nie! weź ty sobie także te pieniądze napowrót, oddaj im, a żony mojej proś, żeby Janeczka inaczej chowała

— Ja pani zaraz z miejsca depeszę przysię i list codziennie napiszę długi, szczegółowy, żebyś pani spokojniejszą była.

— O! proszę, błagam pana o to.

— Napiszę z pewnością, napiszę szczerą prawdę, wszak wiesz pani, że kłamać, nawet w dobrym celu, nie potrafię.

— Podziękuję panu całym sercem.

— A teraz pójdźmy na chwilę do domu, przecież nie mogę odjechać, nie pożegnawszy tego kochanieckiego maleństwa. W gospodarstwie tu, podczas mojej nieobecności, dopomoże pani stary Marcin, ja zaraz poślę po niego i rozpowiem mu, co ma się robić. To chłop uczciwy, może mu pani zaufać w zupełności.

Pani Karolowa i Dyrdejko poszli ku dworkowi przez starannie wygracowane uliczki. Ona zamyślona i milcząca, żmudzin zaś ożywiony, mówiący... Zamaskować on chciał troskę, która ciężkiem na jego barki spadła brzemieniem; dlatego też starał się mówić dużo, wesołego prawie udając, żeby tym sposobem dodać siły i mężstwa nieszczęśliwej kobiecie.

Wszedłszy do dworku, Dyrdejko ucałował dzieci, które się już do snu zabierały, zjadł naprędce kolację i pobiegł do swego pokoiku w oficynie. Maleńki tomoczek podróżny przygotował, a potem papiery zestofu zabrawszy, napowrót do dworku przyszedł.

Oddał pani Karolowej książki i rachunki, szczupły zapasik pieniędzy jej wręczył i o wszystkich interesach pilniejszych i o zamierzonych robotach szczegółowo objaśniał.

Młoda kobieta słuchała wszystkiego uważnie, ale szeroko otwarte jej oczy zachodziły łzami, a od czasu do czasu dreszcz jakiś nerwowy nią wstrząsał; starała się być spokojną, panować nad sobą.

Nareszcie przed ganek z turkotem zajechała bryczka. Dyrdejko na zegarek spojrzął i szybko z krzesła się zerwał.

— Czas — zawołał — czas także już wielki, jechać trzeba.

To rzekłszy, panią Karolowę za rękę ujął i długi na tej ręce pocałunek wycisnął.

— Dobrej myśli, pani kochanieńka, odwagi — szeptał z ojcowską czułością. — Wróć z dobrą nowiną, a kto wie? może wrócimy oba... stosunki jakie takie są... wszystkie poruszę.

— Dógby przez twe usta przemawiał, panie Fulgenty.

— W Jego mocy wszystko — rzekł żmujdzin i na ganek wyszedł. Pani Karolowa odprowadziła go do bryczki, a gdy się stary z trudnością na wysokie siedzenie gramolił, mówiła jeszcze półgłosem:

— Szczęśliwej drogi, a pamiętaj pan powtórzyć Karolowi wszystko, com mówiła, wszystko mu powtórz, o dzieciach mu opowiedz, że kochają go, że nawet mała Władzia mówi o nim często. Powiedz, że ja o jego zdrowie się modłę, a nie zostawiajcie mnie bez wiadomości... wracajcie... wracajcie obadwa!

— Paniusiu kochanieńka, napiszę... telegram zaraz przyślę... bądźcie zdrowi.

Marcin, który stał dotychczas przed gankiem i ze stangretem rozmawiał, poklonił się nisko Dyrdejce.

— Niech ta pana Najświętsza Panienska prowadzi i przyprowadzi szczęśliwie.

— Bóg zapłać ci, stary, a o tem, co mówiłem, pamiętaj.

Bryczka ruszyła i niebawem zniknęła, za bramą słyhać było tylko oddalający się, a coraz cichszy jej turkot i ujadanie psów strzegących chałup wiejskich.

Pani Karolowa, załamawszy ręce, na ławce w ganku usiadła i puściła wodze łzom tłumionym tak długo. Pierś jej podnosiła się gwałtownie, ze ściśniętego bólem gardła wydobywały się łkania.

Chłop stał jeszcze przed gankiem, patrzył na ten płacz rzewny i sam oczy rękawem grubej sukmany ocierał. Widocznie pocieszać pragnął, ale przemówić nie śmiał, miał tylko czapkę w rękę i pokaszliwał, z nogi na nogę przestępując.

Nareszcie, gdy spłakana kobieta uspokajając się zdawała, odezwał się nieśmiało;

— Proszę łaski pani, a dyć to je gzech tak przeciw Boskiej mocy ustygować...

— Ach! mój Marcinie, nieszczęście takie... kalleka! nie wiesz o tem zapewne.

— Wiem, wiem, proszę pani, bo mi pon rządca powiadał, co bez masynę...

— Nieszczęśliwy... może rękę straci! pomyśleć o tem nie mogę.

— I — proszę pani, dlatego, choć i na to mówiący, przez jednej ręki je kiepsko, to zawdy się jesce drugą można jako tako oganiać.

— Ależ to straszne kalectwo!

— Zawdy gorsa bieda bez oców, a przez je-

dnej ręki, byle się jeno mógł ciek drugą przegnać a łyżkę w garści utrzymać, to żyć zawdy można.

Westchnęła ciężko pani na tę smutną pociechę, a chłop mówił dalej.

— Niech się wielmożna pani nie markoci, toć i stary Onufer, co tu był za gajowego bez dwa roki, tez ręki nie miał, bo mu we młocarni pięść urwało, a potem mu dochtory urznięni według równości, ze mu jeno kikut się z niej ostał; dlatego jaki był jesse chłop z niego! Drugi niezguła z dwiema rękami tego nie stojał. A jak raz posed cyganów spędzać z pola, a te do niego z kijami przystąpiły, to ich tak jedną ręką i kikutem sprzał galanto, ze nie wiedziały, bez który zagon skikać! Niech się tez wielmożna pani i o nasego pana nie frasuje, bo jesse, da Bóg miłosierny, i z niego ludzie będą.

Tak stary chłop pocieszał strapioną dziedziczkę. Naturalnie, pocieszał ją jak mógł i jak umiał, a na tę scenę patrzył z góry księżyc jasny, pełny, oblewający łagodnym światłem dworek i ogród, przeglądający się w rzece, w której falach łamały się i migotały srebrne jego promienie.

Wietrzyk lekki osuszał lzy płynące po pięknej twarzy kobiety i igrał z długimi, białymi włosami chłopca, który strapioną tak szczerze pocieszać się starał.

Księżyc oświetlał także drogę żmujdzinowi starem, a drogą tą był gościniec piaszczysty, szeroki. Konie z trudnością ciągnęły bryczkę, podnosząc kopytami tumany kurzu — stangret drzemał na koźle.

Właśnie do lasu wjeżdżano. Noc była prześliczna, w oświetleniu księżycowem drzewa wyglą-

dały wspaniale. Sosny, jak baldachimy czarne, wznosiły się nad brzoźami białymi, nad krzakami leszczyzny i nad całą masą roślin drobnych, karzelków, co się stóp olbrzyma czepiają. W gęstwinie odzywał się chór słowików, a silny, donośny głos tych ptasząt szarych, potęgował się jeszcze i olbrzymiał wśród uroczystej ciszy nocnej.

Zdaleka, z odległego bagna, dolatywał chór żab rechoczących; czasem sowa cichym lotem przemknęła ponad drogą; z po za lasu ukazywały się światła kolorowe — sygnały ze stacyi kolei.

Dyrdejko, żmujdzin nabożny, jak każdy z nich prawie, pacierz półgłosem szeptał, ale wrażenia dnia ubiegłego przeszła: adzały mu w modlitwie, to też przerywał ją co chwila i znowu do niej wracał, a kiedy mu na myśl przyszła smutna, zażawiona twarz pani Karolowej, zastanawiał się nad sercem kobiecem wogóle, to znów myślą w odległą, własną przeszłość powracał... porównywał, kombinował się zdawał...

Widocznie jednak i te porównania przekonać go nie mogły, bo ostatecznie machnął ręką niechętnie i rzekł półgłosem:

— Jak ty sobie chcesz, braciszku, a zawsze kłopot z babami!!!

V.

Chociaż nad ziemią, ustrojoną w zieleni i kwiaty, jaśniało niebo pogodne; chociaż przyroda cała tchnęła życiem, śpiew ptasząt napełniał powietrze, a bzy kwitnące kąpały się w blaskach słonecznych, pani Karolowa zdawała się tego nie widzieć. W duszy jej smutno było i posepnie, dnie wydawały jej się szare i smutne, jak na jesieni późnej, a każdy z nich włócił się i ciągnął tak długo, jak gdyby jedna godzina miesiąc trwała.

Ciągle, nieustannie prawie, czarne, załamane czy osamotnionej zwracały się ku oknu, pragnąc dostrzedz na drodze posłańca z przyobiecana wiadomością. W nocy, gdy tylko psy szczeleć zaczęły, już była na nogach, zapalała światło i czekała... na próżno.

Tak upłynął tydzień cały, tydzień długi jak rok. Zdawało się, że przez ten czas Dyrdejko mógł już pót świata objechać, a jednak żadnej wieści, żadnego znaku życia nie dawał.

Smutna, stęskniona i niespokojna stała przy oknie, przecierając wciąż szybę i patrząc na aleję lipową, przez którą się z gościńca do folwarku wjeżdżało... gdy nagle w tę właśnie aleję, nie wjechał,

lecz wpadł w całym pędzie dobrze znany w Zarzeczcu ekwipaż.

Była to dwukołowa biedka Jankła.

Pan Pacanower nie siedział, lecz stał w niej raczej, jedną ręką z całej siły za lejce targał, drugą zaś okładał biczem wychudzonego kasztanka, który, zniecierpliwiony, że go chlebobawca tak bez miłosierdzia ćwiczył, spuścił łeb ku ziemi i wierzgał, uderzając z całej siły kopytami w przód biedki. Była to homeryczna walka bata z kopytami, lecz, że przy bacie zawsze bywa racya, więc i w tym razie kopyta ustąpiły i biedny kasztanek całym pędem, jak gdyby się na wyścigowym torze popisywał, sadził przez aleję, wpadł na dziedziniec jak szalony i zakręcił przed dwór tak nagle, że oś biedki uderzyłszy o kamień, pękła, a Jankiel Pacanower w całym impecie upadł na piasek.

Po tym akcie wielkiego wysilenia, kasztanek zapomniawszy o przejściach bolesnych, z filozoficzną obojętnością zaczął gryźć trawę, nie troszcząc się o to, co się z jego gospodarzem stało.

Na szczęście, pan Jankiel, oprócz lekkiego stłuczenia, większego szwanku nie doznał. Zerwał się na równe nogi zaraz i zaczął kamlotowy swój żupan z kurzu otrząpywać. gdy ukazała się pani Karolowa, która widząc z okna owo salto mortale, przestraszona na ganek wybiegła.

— Co to jest? co wam się stało? — spytała Jankła.

— Bogu dziękować, proszę wielmożnej pani, nic... Takie kuń, niech jego moje oczy nie widzą, niech un zara zdechnie, *jak ja jego sprzedam!* Ja tu leciałem do wielmożnej pani jak ptak! jak zajał

— Co się stało?

— Aj waj! wielgie nowina! Pani wie, co z miasta jest dwa mile drogi z ogonem, a ten ogun, niech jemu djabli wezma, to za drugie dwa mile znaczy— to ja nie jechałem więcej, jak jedną godzinkę! Widzi wielmożna pani, aż mi się biedka złomila i ten kuń... ten waryat... pewnie sobie ochwaci.

— Biedkę wam krzę naprawić, ale mówcie, co się stało... prędzej!

— Oj! kiedy z tego giewaltu tak mi kolo serca pika, co nawet gadać nie mogę. Ufl to jest wielgie nowine! to jest wielgie ścięście!

— Zmiluj się, człowiecku, mów już raz, nie trzymaj mnie jak na rozżarzonych węglac!

— Oj, oj! jak mnie kole serca pika; czy wielmożna pani trzyma los na brunswińskie loterye?

— Ależ nie trzymam wcale.

— To może na warsiawskie! pewnie pani trzyma!

— Więc cóż?

— Jakto co? Teligraf do pani jest!!

— Gdzie? gdzie? pewnie z za granicy... o Boże! dawajcież go prędzej!

Żyd po kieszeniach szukać zaczął i mówił:

— Ja sobie stojałem na rynku, tymczasem sam nacielnik z teligrafu przyleciał i powiada, co jest bardzo pylne depesie do wielmożnej pani... ny, ja zaraz jego brałem i powiedziałem, co za godzinkę już un u pani będzie.

— Dawaj, dawajże tę depesę, Janklu, jak najprędzej!

Żyd jeszcze raz do kieszeni sięgnął, wreszcie przestraszony zawołał:

— Aj waj! nieścięście!

— Co?

— Ja tego teligrafa zgubiałem!!

— Bój się Boga, człowieku! to niepodobna!

— Proszę wielmożnej pani — i ja sam tak miszłę — rzekł zatrwożony Jankiel, szukając po wszystkich kieszeniach — napróżno.

— Mój Boże, mój Boże! — wołała pani Karolowa — a czy wy wiecie, Janklu, że w tej depeszy mogło być całe moje szczęście... cały los!

— Oj, waj! gwałt! cały los! a ja sobie miszlałem, co wielmożna pani tylko jednego czwartkę trzymała! Cały los! a gance los! to mi dopiero ścięście!

— Ależ ja o żadnej loteryi nie myślę, ja czekam depesy od męża! może gdzie w drodze zaginęła? zmituj się, Janklu, przypomnij, może gdzie wstępowałeś jadąc?

Żyd zamyślił się, nie przestając jednak po kieszeniach szukać.

— Gdzie ten teligraf się podział?... dyabli jego wiedzą! nu, gdzie un się podział? to całe kimedye, żeby ja tak zdrowie miałem!

— O któreże godzinie wyjechałeś z miasta?

— Przed samym wieczorem wczoraj... jeszcze krzynekę słonko pokazywało na niebie.

— Przecież mówiłeś dopiero, że ledwie godzinę jechałeś.

— Ny, ny, ja sprawiedliwie godzinę jechałem, tylko, że stojałem trochę na drodze. Miałem wielgie nieścięście! Zara za miastem ten mój kuń, niech jemu dyabli wezma, co to za kuń! jak się rozpędził z wielgiego giewaltem, to zara sobie psiewrócił i leżał na

gościńcu jak bik! dopiero chłopcy z Wygnanki jechali, więc obiecałem im dać wódki, co ledwie podniesili tego waryata. Aj waj, co ja miał kramu!

— Więc może tam depesza wypadła?

— Nie, na moje sumienie, nie, proszę pani, bo pamiętam, co ja tego teligrafa pokazywałem Fajwłowi w Zawadkach.

— Cóżście tam robili? to przecież nie po drodze.

— Ja wielmożnej pani przyznam się całe prawde. Ja z tego Fajwła mam współkę do gęsiów, a po drugie, co ja chciałem tak krzynkę przenocować.

— Więc nocowałeś w drodze?

— Jakie to nocowanie!? na terajsze noc, czy to człowiek nocuje? Tylko co się trochę prześni, już dzień! Nawet pacierzów nie mówiłem, rano tylko brałem pięć gęsiów na biedkę i zara duchem pojechałem w drogę. Proszę wielmożnej pani, czy to z takim wielkim teligrafem można balamucić w drodze? ja leciałem jak ptak! co ja gadam, jak ptak! jak dwa ptaków!

— Mój Boże, mój Boże! i taką ważną, tak oczekiwaną wiadomość zgubić! to okropność!

— Niech wielmożna pani poczeka, ja jego zdybię, ja jego z pod ziemię wykopię. Jak to może być, żeby ja zgubił! ja jeszcze jak moje życie, jedno dzie sięć groszy nie zgubił! Ja bardzo dobrze pamiętam, że go w Woli Zarzeckiej widziałem i w Stawkach.

— Cóżście w Stawkach robili?

— Tam było licytacja po księdzu... całkiem niewielki interes! Tamte zidy dali mnie trocha odstępnego i zara odjechałem, tylko co kunia napoiłem i duchem leciałem do wielmożnej pani. Na moje su-

mienie! toć wielmożna pani widziała, jak ja jechałem, mało mnie kuń nie zabił!

— Ach! cóż mi z tego, kiedy depeszy nie ma... o Janklu, Janklu! co wyście mi najlepszego zrobili?

— Niech sobie wielmożna pani nie frasuje, to nie może być! pójdę ja, poszukam w biedkę, między słome, może ten teligraf tam wyleciał!

Z temi słowy Jankiel wybiegł przed ganek i rozpoczął ścisłą rewizję zawartości swego ekwipażu i roztrząśnionej na miejscu wypadku słomy — lecz pani Karolowa na rezultat tych poszukiwań nie czekała. Myśl, że może mieć tyle upragnioną wiadomość o losie ukochanego człowieka, dodawała jej siły i energii.

Na żyda nie zważała już nawet. Nietylko bowiem prawdopodobnem, ale pewnem nawet jej się zdawało, że w wędrówce, w której tyle różnorodnych interesów załatwiał, mógł łatwo zgubić depeszę. Natomiast przyszła stroskanej kobiecie inna myśl. Niezawodnie na stacyi telegraficznej muszą mieć kopie depesz, a jeżeli nie, to może urzędnik, ze względu na niewielką ilość telegramów, treść przynajmniej pamięta. Pragnęła więc pani Karolowa być w miasteczku lotem ptaka. Kazała też konie natychmiast zaprzęgać, a sama zaczęła się z gorączkowym pospiechem do drogi ubierać.

Rzeczywiście toaleta nie zajęła jej więcej nad dziesięć minut czasu. Ubrana i zupełnie już do drogi gotowa, chodziła szybko po pokoju, oczekując na konie. Posyłała służące jedną za drugą do stajni, żeby spieszo, a chociaż stangret się związał i karbowy z Marcinem pomagali mu także, jej się zdawało, że

ci ludzie zaprzęgają godzinę, że mają ręce drewniane... że psuje się im wszystko!

— Prędey, prędey! — wołała zniecierpliwiona tupiąc nóżką, a w oczach jej błyskały iskry, usta zacinały się gniewnie, kurczowo zaciskała dłonie, a nadbiegłej z pieśczętami Władzi kazała iść do swego pokoju.

Dziewczynka rozplakała się rzewnie i powiedziała, że już nigdy w życiu nie pocałuje mamusi, kiedy taka zła.

Tymczasem pan Jankiel Pacanower jeszcze za wygraną nie dawał. Przetraszał starannie całą zawartość swej biedki, szukał w słomie, nareszcie zaczął czynić poszukiwania koło siebie.

Pomimo, że ciepło było, miał jednak kilka żupanów na sobie. Jankiel przypuszczał, że może przez rozdartą kieszeń telegram za podszewkę się dostał. Sondował więc swą długą i wychudłą ręką tajemnicze podszewek i właśnie w chwili, gdy pani Karolowa już na bryczkę wsiadła i konie ruszyły, znalazł zgubę i krzyknął z całej mocy:

— Wiwajt! teligraf jest! Stój! stój! już un jest! już ja mu teraz nie zgubię!

Pani Karolowa w jednej chwili wyskoczyła z bryczki, wyrwała depeszę z rąk Jankla i wbiegła do swego pokoju.

Wzruszenie tamawało jej oddech...

Tak tej depeszy pragnęła, tak oczekiwała na nią, a teraz, gdy ją posiada, gdy trzyma ją w ręku, nie śmie zerwać pieczątki... nie śmie przeczytać.

Położyła ją na stoliku i drżąc na całym ciele, patrzyła na nią trwożnie, jak gdyby pragnęła odga-

dnąć, czy ten papier szary nieszczęścia jakiego nie przynosi.

Wreszcie rękami drżącymi rozerwała depeszę. Przebiegła ją jednym rzutem oka — i w tejże chwili z okrzykiem padła na kolana przed obrazem i głośnym wybuchnęła płaczem. Twarz ukryła w dłoniach, z piersi zaś, falującej szybko, wydobywały się przytłumione jęki i łkania.

Konwulsyjnie załamała ręce i długo, długo w tej pozycji klęczała, wznosząc od czasu do czasu oczy na obraz, na którym nie wykwiśniętym, ale natchnionym widocznie namalowana pędzlem, widniała twarz Matki Bolesnej, z oczami wzniesionymi w niebo i sercem siedmiu mieczami przebitem...

Widocznie modlitwa pokrzepiła strapioną, gdyż wstała, otarła oczy — i z ciężkiem westchnieniem, ale już spokojnie, przypatrywała się depeszy, jak gdyby z martwych liter pragnęła ułożyć obraz szczegółów tych chwil ciężkich, przez które mąż jej przechodził.

Ale depesza była małowowna, lakoniczna, w kilku wyrazach donosiła ona, że operacya się powiodła i że chory ma się dobrze.

Więcej nic nad to!

Operacya! a zatem ręka odjęta! Karol kaleka! marzenia jego o pracy, której się oddał tak szlachetnie i zacie, skończone!

I pocóż brał się do roboty, zakończonej tak fatalnie? Dlaczego? co go do tego zmuszało? Dyrdejko powiada, że Karol przejrzał, że w szkole nieszczęścia i niedoli myśleć się nauczył, być może... lecz czemuż przejrzenie to musiał aż krwią własną i kalectwem okupić?

Cofnęła się myślą w przeszłość i mówiła do siebie:

— Tak dobrze zapowiadało się życie. Zdawało się, że jest samemi kwiatami usłane... Był spokojny, miłość wzajemna, dziatki takie rozkoszne, jak cherubiny z nieba zesłane. A teraz... teraz... barwy jasne zniknęły, zamiast kwiatów ciernie, oddalenie, tęsknota i kalectwo! Smutno i czarno dokoła.

I zadumała się biedna, kochająca kobieta, utonęła w myślach posępnych i byłaby Bóg wie jak długo w pokoiku, samotna, z myślami czarnemi pozostawała, gdyby nie to, że służąca oznajmić jej przysła, że Jankiel czeka i o chwilę rozmowy bardzo prosi.

Pani Karolowa ocknęła się z zadumy, otarła oczy, poprawiła suknię na sobie i kazała żyda do pierwszego pokoju poprosić, dokąd też sama miała przyjść niebawem.

Jankiel wszedł i jarmulkę na głowie poprawił, twarz czerwoną chustką obtarł i przyjścia pani oczekiwał.

Nie bez planu przybył on tutaj — i depezę nie bez planu wioził. Kontrakt na karczmę za parę tygodni upływał, a on odnowić go pragnął, gdyż nie chciał Zarzeczca opuszczać. Postanowił też z nieobecności Dyrdejki korzystać i z samą panią układ zawrzeć; — kontent był nawet, że żmujdzina w domu nie było, gdyż stary w interesach twardy był jak kamień i najmniej skłonny do ustępstw, a już bezwarunkowo głuchy na wszelkie obietnice i pochlebstwa, któremi zazwyczaj sprytni żydkowie robią co chcą z dobroduszną szlachcią.

Nieobecność Dyrdejki tedy była bardzo Janklowi na rękę — i bądź co bądź, postanowił sobie tę korzystną dla siebie chwilę wyzyskać.

Przybrał też minę bardzo układną, grzeczną a pokorną i przybycia pani oczekiwał.

Niedługo na siebie dała czekać. Weszła do pokoju, blejsza jeszcze niż zwykle, ale poważna, spokojna, a w oczach jej nie było już nawet śladu łez, których tak wiele wylała przed chwilą. Boleść w sercu własnem zamknęła i nie chciała jej pokazywać nikomu.

Jankiel, zobaczywszy wchodzącą, niemal do samej ziemi się sklonił i przeproszał, że tyle niepotrzebnego kłopotu zgubieniem owej depezy narobił.

— Na te nasze kochane prepinacye — mówił — to nawet człowiek nie ma na kawałek porządne kapote! same dziurów i łatów — i bez to się ten teligraf zapodział, proszę wielmożnej pani.

— Żle wam idzie? — spytała.

— Ot, nie wiem sam, jak mam wielmożnej pani powiedzieć, terajszy czas bardzo kiepskie jest, a te prepinacye zarzeczkie to ni tak, ni owak, jak to powiadają, co ani pachnie, ani, za pozwoleniem, szmierdzi... tyle co jeno człowiek żyje z dzieczkami.

— Cóż? nie martwcie się, bo zdaje mi się, że już od świętego Jana kończy się wasz kłopot...

— Właśnie, ja wedle tego chciałem się z wielmożną panią rozmówić.

— Na co? źle wam tu... traciecie.

— Ny, to prawda jest, co ja tracę, bo te chłopcy to niedługo harbatę zaczną pić... bardzo mało co

okowita odchodzi; tylko, jak to powiadają ludzie, co i kamień na jedne miejsce sobie obrośnie, to ja chciałem prosić wielmożne pani według prolongacye...

— Na strate?

— Ny, niech moje wrogi to mają, co ja u państwa straciłem!... tylko zawdy człowiek sobie miszli, że co w jednego roku stracił, to w drugiego odbije; a po drugie izba jest... ogrodu kawałek, to choć sze urodzi jaka kwarta grochu dla dzieciów...

Pani milczała, żyd dalej ciągnął:

— Proszę wielmożnej pani, my nie pójdziemy do wójta... jaby nawet, choć na moje strate, krzynkę postąpił — dalbym za jakie dwa lata z góry... bo państwu pieniędzy potrzeba...

— Mamy dość, z łaski Boga.

— Aj! co to doszcz? czy to można mieć za dużo pieniędzy? to tylko, niech Bóg zabroni, słaboszcy może być za dużo, a pieniędzy nigdy nie jest doszcz! Zgódźmy sze, niech wielmożna pani na tego samego kontraktu swoje godne imie podpisie!

— W każdym razie odpowiedzi stanowczej dać wam nie mogę, mój Janklu, bo wszystkie interesa załatwia pan rządcą, czekajcie zatem, on zapewne nieza dlugo powróci.

— Co pan rządcą! pan rządcą! albo un jest, przez urazy, wielmożnej pani matka, co przez niego nawet jeden goździk we szciane wbić nie można? Ja nawet wielmożnej pani mogę pod sekretem powiedzieć, co un tyż ma swoje szpikulacye, un grubijan jest! un na pani krzywdę interesów prowadzi.

— Co do tego, to już pozwólcie mi, Janklu, mieć swoje własne zdanie.

— Ny, ny, niech i tak będzie — a z młynem to un niby ładny interes zrobił?

— Cóż takiego?

— Toć wielmożna pani wie dobrze. Bez piętnaście lat siedział Berek, płacił regularnie jak bank! jeszcze wygodził wielmożnemu panu czasem, ale pan rządcą tera puścił młyn Michałowi.

— Bo dwa razy tyle płaci i spokój z nim jest, skarg żadnych, procesów nie ma.

— Żeby jemu tylko nie przytrafiło się jakie nieścieścicie...

— A cóż mu się może przytrafić?

— Ny, ja nie wiem, ale w drugich miejscach, co takie nowotne młynarze brali arendę po żydkach, to się różnie trafiało... ny, na co daleko szukać, w Stawkach młyn się spalił, a przy żydku dwadzieścia lat stojał!

— Nie obawiam się o to, nasz młyn ubezpieczony.

— Niech Bóg zabroni, żeby un sze miał palić — ale bywa zdarzenie. Pani dobrodzyczka wie, co czasem jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści, a jak kto pruszy ogień, to sze musi zrobić dymu... różnie sze trafi na tym świecie.

— Być to może, jednak ja sama z wami układu kończyć nie mogę. Przyjedzie pan Dyrdejko, to będzie sam wiedział, co robić.

— Proszę wielmożnej pani, co un może wiedzieć? un to tylko wie, że chciałby wsiskie zidy zapędzić do soche, albo do karczunku w lesie, a handlowałby tylko z chłopami! Un wie! co un wie ten stary? Un dobrze nic nie wie, a pani wielmożna to jego sze słucha, jak kogo dobrego!

Rozśmiała się pani Karolowa.

— Cóż dziwnego? — rzekła. — Kobieta jestem, sama, więc muszę kogoś słuchać.

— A za co sze pani mnie nie słucha?

— Czy także jak matki?

— Jak bardzo ziczące osobe... przecie ja dla wielmożnej pani małym życie nie stracił, tak z tego teligrafa leciałem...

— Ach, prawda, macie rację, mój Janklu, pójdźcie też zaraz do Marcina, niech wam da pół korca owsa dla konia.

— A prepinacye?

— To już poczekajcie, pan rządca niezadługo przyjedzie... ja się w to nie wdaję.

Jankiel zły, że mu się interesu zrobić nie udało, wyszedł, kłaniając się nisko, lecz jeszcze za wygranę nie dawał; postanowił użyć wszelkich środków, lecz potrzebował namyśleć się dobrze, skombinować wszystkie okoliczności. Biedkę złamaną na dziedzińcu zostawił, a sam na kasztanka wsiadłszy, powoli ku karczmie pojechał.

Wieczór już nadchodził, słońce ku zachodowi się zniżało. Czas był piękny, wietrzyk chłodził powietrze. Pani Karolowa pragnęła orzeźwić się trochę. Zdawało jej się, że szum drzew, wonny zapach łąk uspokajająco oddziałają na nią. Chciała być samą, zebrać myśli, po doznanych wrażeniach smutnych odetchnąć, a kto wie? może też w samotności zapłakać, może wypowiedać się z trosk swoich i cierpień przed krzyżem przydrożnym... przed gruszką samotną na miedzy.

Szła ku łąkom, ku rzece, po lekkiej pochyłości

wzgórza, przez ścieżkę wydeptaną wśród pola. Z jednej i z drugiej strony ścieżki wznosiły się zielone ściany żyta, a po za tem polem otwierał się widok na rozległe, barwne sianozęcia, na których już niezadługo kosy zabrzęczeć miały.

Na polu owem, na łące, każdy krzak, każde drzewko dobrze znane jej było. Ileż to razy przechodziła tędy szczęśliwa, kochająca i kochana, wsparta na ramieniu męża, który jej pola i zbiory spodziewane pokazywał. Siadali nieraz oboje nad samym brzegiem rzeki, słuchali plusku jej fal modrych, albo też zrywali maliny nad brzegiem rosnące.

Przeszły te chwile, skryły się, jak jasne słońce za chmury, a pytanie, czy kiedy jeszcze przyjdzie wiatr pomyślny i czy te chmury ołowiane rozpędzi?

Smutno, smutno...

Słońce zapadało za las. W krzakach nadbrzeżnych świergotały jeszcze ptaszki, sadowiac się już do snu na gałązkach, bociany dążyły do gniazd.

Jeden z nich tylko nie spieszył z powrotem. Podlatywał, znów siadał, później się zrywał do lotu i zataczał w powietrzu kręgi szerokie, nareszcie usiadł na zeschłej gałęzi topoli i długo, długo klekotał.

Był to biedny samotnik bez pary. Silniejsi odbili mu towarzyszkę życia, więc też udał się sam bez gniazda, pocieszając się zapewne nadzieją, że może gdzieś za górami, za wodami... towarzyszkę swoją odnajdzie.

VI.

Żniwa były w całej pełni. Na polach pracowali ludzie, a stary Marcin uwijał się między nimi.

Swojem gospodarstwem nie zajmował się już, gdyż oddał je dzieciom, a nawet na czas nieobecności Dyrdejki z chałupy się wyniósł i w folwarku w stodole sypiał, żeby być bliżej dworu, nad którym obecnie rozciągał opiekę.

Co prawda, dumnym był potrosze z roli, jaką odgrywał—i powierzone sobie obowiązki spełniał sumiennie. Z ludźmi kłopotu wielkiego nie miał, gdyż we wsi wszyscy go za najstarszego uważali i słuchali jak ojca, to też robotnika nie brakło mu nigdy i żniwa odbywały się bardzo szybko i pomyślnie. Nowe stodoły nie mogły całkowitego zbioru pomieścić, więc ustawił Marcin dwie sterty pokaźne na polu, aby zdaleka widziane świadczyły, że w Zarzeczcu źle nie jest i—chleba nie zabraknie.

Janek biegał po polach i o ile mu czas wolny od lekcyj pozwalał, ciągle Marcinowi towarzyszył, a gdy na bliższych polach żęto, to i Helenka z małą Władzią przybiegały do robotników.

Marcin zjednał sobie szczególną sympatyę Władzi. Raz przyniósł jej małego zajączka, którego

w zbożu złapano, to znów kwiatków jej narwał; to jak był na łąkach, z sitowia ładny koszyczek jej upłótt, skutkiem czego tak się dalece wkradł w ła-ski dziewczynki, że zapowiedziała, iż się z nim ożeni.

Chłop protestował, tłumacząc się, że stary już, że babę swoją ma, a'e to jednak nic nie pomogło. Władzia rozplakała się i nie uspokoiła prędzej, aż mamusia przyrzekła, że jej sute wesele z „Marcinem“ wyprawi... jak się kartofle wykopią.

Dnie upływały jednostajnie i w Zarzeczcu nic się nie zmieniło, prócz tego, że dobry nasz znajomy, pan Jankiel Pacanower, karczmę opuścił i do miasteczka się wyniósł, a na jego miejsce zainstalował się rzeźnik z poblizkiego miasteczka, który przed pół rokiem jeszcze kontrakt z Dyrdejką zawarł. Ten nowy propinator sklepik przy karczmie założył i jakoś nieźle mu się działo, a że był człowiek spokojny, kościoła w niedzielę nigdy nie opuścił, więc też i ludzie we wsi polubili go i nawet kontenci byli z tej zmiany.

Pan Jankiel wyniósł się do miasteczka; w kupnie zboża pośredniczył, małe dostawy na siebie brał, lecz chociaż wiodło mu się nieźle, na losy wciąż narzekał i przeklinał „złych ludzi,“ którzy go usunęli z Zarzeczca.

Do pani Karolowej przychodziły listy. Stary żmujdzin rzetelnie przyrzeczenie spełniał i co kilka dni, ciężką, niebardzo do pióra nawykłą ręką, relacje o zdrowiu Karola podawał, przyrzekając, że za powrotem najbardziej szczegółowo i detalicznie, o wszystkim opowie. Taką obietnicą kończył zazwyczaj

list każdy, nie zaniedbując przytem skreślenia szczegółowej instrukcyi—co robić w folwarku, gdy pogoda będzie—co, gdy się na dłuższy deszcz zaniesie, Informował też o szczegółach wykończenia budowli, o odrobkach od włóścian należnych, jednym słowem, chociaż z oddalenia, starał się całem gospodarstwem kierować.

Pani te instrukcje Marcinowi odczytywała, chłop je spełniał sumiennie i zapewniał, że jak pan rządcą powróci, nic w gospodarstwie do zganienia nie znajdzie, przeciwnie, kontent być powinien, gdyż pogoda dopisywała stale, zbierało się pomyślnie, a ludzi do roboty nie brakło, chociaż się w sąsiedztwie powszechnie na brak uskarżano.

Obawa o zdrowie Karola mijala. Donosił Dyrdejko, że ręka się goi i że do pewnego stopnia brak jej da się sztuczną zastąpić; donosił, że ogólny stan zdrowia jest dobry, że Karol pogodził się z losem, który takie na niego zesiał kalectwo — i że zajmuje się już planami zatrudnienia swego na przyszłość.

O powrocie Karola jakoś nie wspominał zmujdzin, przeciwnie, wnioskować było można, że to najdroższe marzenie opuszczonej kobiety nie spełni się jeszcze tak rychło.

„Pani nasza kochanieńka—pisał stary—nie poznałabyś swego Karola, jaki poważny z niego człowiek! jaki sensat! Po całych dniach my tu także z sobą gadamy o pani, o tych dureńkach małych, co teraz pewnie ciągle w polu przesiadują, o Zarzeczcu, no i pani dobrodziejko, o tysiącach takich Zarzeczów, jak nasze, opuszczonych dzisiaj, rozkawa-

kowanych, rozbitych. Co z nich w przyszłości będzie, o tem my z Karolkiem po całych dniach gadamy i godzimy się na jedno, że to się odrodzi jeszcze, wzmocni, odmłodnieje także — ale, jeżeli umiejętnie pracować będzie. O Janku my radzili, co ja gadam o Janku, o tysiącach Janków! jak ich wychować, żeby ludzie z nich byli. Pokutniki to małeńkie, droga pani, za grzechy ojców i dziadków, którzy im także twardy los zgotowali...

„No, toż trzeba ich też inaczej wychowywać, praktyczniej do życia sposobić. Gadałiśmy, gadali, pani kochanieńka, aż nieraz w gardle zaschło i gęba zabolala, a obaśmy na jedno się godzili. Opowiem ja to wszystko za powrotem dokładnie, bo do wypisania się ja nie majster, a i Karolek także od pisania odrywa, a o was ciągle się pyta. Da Bóg, gdy powrócę niezadługo, to dowiesz się pani, co Karol dalej zamierza. Do fabryki już nie wróci, bo nie może—a beczynnie także siedzieć nie będzie, chleba darmo przyjąć nie chce. Obmyśliliśmy plany, ale jeszcze uprzedzać ich nie chcę, cóż bo także ryby przed niewodem łąpać?... powrót mój niezadługo nastąpi, a z nim i relacya też będzie. Tymczasem cierpliwości, pani kochanieńka, spokoju—a jak bardzo żałośnie na duszy będzie, jak zatęsknisz pani ciężko, to weźmij które małeństwo na ręce, popatrzaj jemu w oczki... a wnet także i siła się znajdzie...”

Kilkakrotnie odczytywała pani Karolowa ten list i niejedna łza gorąca spadła z jej oczu na papier szary, na grube, niezgrabne litery.

Z gorączkową niecierpliwością oczekiwała zapowiedzianego powrotu Dyrdejki i ludziła się do osta-

tniej chwili nadzieją, że może... może, obok niego, ujrzy jeszcze kogoś, komu z okrzykiem radości na szyję się rzuci... kogo powitać tak gorąco, tak serdecznie pragnie.

Noc już była późna, stary zegar gdańsk miarowo, a jego wskazówki już się ku dwunastej zbliżyły. Wioska, folwark i cała okolica tonęła w ciemności i ciszy, tylko gałęzie drzew, poruszane tchnieniem wiatru szumiały, a od czasu do czasu pies we wsi szczeknął.

Pani Karolowa nie spała jeszcze. Czuwała ona, wsparłszy głowę na dłoniach. Dokąd biegły jej myśli—domyśleć się łatwo. Błądziły one daleko, daleko od Zarzecza, od ziemi rodzinnej, na skrzydłach miłości przebywały przestrzenie, spieszyły tam, dokąd głos serca je wzywał.

Wśród ciszy nocnej nagle rozległ się dźwięk metaliczny, donośny i powtórzył się echem w lesie pobliskim.

Zdawało się pani Karolowej, że to sygnał trąbki pocztowej...

Z okrzykiem, który mimowolnie wydarł się z jej piersi, rzuciła się do okna, otworzyła je naoścież, i rozszerzonymi źrenicami oczu usiłowała przeniknąć ciemność nocy.

— Dwóch, czy tylko jeden?—zapytywała trwożnie, a serce jej uderzało przyspieszonym tętnem, rumieńce na twarzy wybiegły.

Dwóch, czy jeden tylko?

Nie, nie! dwóch będzie, wszak Bóg dobry, On wysłucha tyłu modłów gorących, tyłu łez, tyłu westchnień! Dwóch będzie z pewnością!

Już ich tylko co nie widać, ale czemuż jada trąbki powoli? Głos trąbki rozlega się tak wyraźnie, tak donośnie przecie, muszą więc być tuż za wsią... ale nie, to złudzenie... może dopiero wyjechali z lasu, a głos tak się wyraźnie rozlega po rosie... Nie! to niepodobna! tak długo, tak okropnie długo... a i ten pocztylion nieznośny, zamiast popędzać konie, wytrębuje jakiegoś krakowiaka, jak gdyby się chciał popisać muzykalnym talentem!

Tak myśląc, wychyliła się przez okno otwarte, bardziej, coraz bardziej wyteżala wzrok, usiłowała usłyszeć turkot kół.

I Marcin, śpiący w stodole, dźwięk trąbki pocztowej usłyszał i zmiarkował zaraz, że to nikt inny nie jedzie, tylko rządcą. Po oddalonych, chociaż wyraźnych dźwiękach poznał, że dość daleko jeszcze musi być ekwipaż, to też nie spiesząc, powoli bramę otworzyć poszedł, a otworzywszy ją, na kamieniu usiadł i pacierz mówił półgłosem.

Tymczasem trąbka odzywała się coraz bliżej, słyhać było jak koła zadudniły po moście i niebawem lekka bryczka pocztowa wpadła na dziedziniec.

Na bryczce siedział Dyrdejko... sam jeden. Pani Karolowa o nic go już pytać nie śmiała, stary obie jej ręce pochwycił i pocałunkami pokrywał — i zaraz oboje do pokoju weszli.

Służąca zaspana, przecierając oczy fartuchem, krzątała się, nakrywając do stołu. Dyrdejko w dżem krzesło usiadł i milczał czas jakiś.

— Jak dzieci?—zapytał po chwili.

— Dobrze, zdrowe—wyrzekła—to jedno, co pociesza w nieszczęściu.

— I za to Bogu dziękować — ucałować je kazał ojciec, małe upominki im przysłał, zawsze także o nich myśli.

— Czy zobaczą go kiedy te sieroty? — zapytała nieśmiało.

— Cierpliwości pani i mężstwa... teraz nie myśleć o tem, ale jest nadzieja... czas przyjdzie.

— Czy nie zwodzisz mnie, panie?

— Nie—rzekł głosem stanowczym.

Spojrzała mu w oczy, wiedząc, że kłamać nie umie. Stary wytrzymał to spojrzenie i rzekł:

— Niezadługo może.

Pani Karolowa dopiero teraz spostrzegła, że przez czas tej podróży Dyrdejko zmienił się jakoś; twarz jego przeciągnęła się i pobladła, kości policzkowe wystawały więcej niż dawniej, a oczy zapadły.

— Czy pan nie chory?—zapytała twożnie.

— Zkąd znowu? Ot, tylko po tych różnych psich drogach zmęczyłem się trochę, odpocząćby się chciało... kości stare już także, to je i lada głupstwo sforsuje. Bagatelka! w pole pójdę, to i zdrowie znajdę. I wnet na inny przedmiot rozmowę zwrócił, o gospodarstwo i wszystkie szczegóły dopytywać się zaczął, chwalił jedno, zrzędził na drugie, o wydatki się pytał, każdy szczegół odrazu chciał zbadać.

Dopiero, gdy się pożywił cokolwiek, gdy już ze stołu sprzątnięto i służąca oddaliła się z pokoju, zniżył głos trochę i rzekł:

— A wie pani kochanieńka, że Karolek nasz już ze Szwajcaryi wyjechał.

— I gdzie jest?—spytała z niepokojem.

— Do Belgii jego także zawiozłem, tam osiadł i zapomogę od nas przyjmować będzie. Ciężar to na folwarczek, ale powróci się z czasem.

— Co też pan mówisz?! Choćby mi przyszło zadłużyć się, majątek sprzedać, w służbę pójść! jeszczebym nie pomyślała, że to ciężar—to obowiązek mój przecież!

— A zawsze ideały, zawsze poświęcenia! zawsze serce!...

— Czyż może być inaczej?

— Ideały, pani kochanieńka, ideały! a to także zguba nasza była. Poświęcić się, to tak jak orzech zgrzyć! Poświęcić się i siebie, panie dobrodzieju, zgubić i kogo nie poratować. Folwark sprzedać, pieniądze przejeść, w służbę pójść, a potem także... łapkę lizać!

— Ależ to obowiązek mój najświętszy.

— Faramuszk, pani dobrodziejko, faramuszk, serce częstokroć nas gubi.

— I pan to śmiesz mówić, pan, który nam dałeś tyle dowodów dobrego serca, nam, ludziom obcym prawie?

— Proszę pani, cóż tam ja? to znowu insza kategoria, kury do indyków nie należą...

— Więc nie powstawaj pan na poświęcenie, skoro się sam poświęcałeś dla drugich.

— Nie w tem rzecz, pani kochanieńka, nie w tem rzecz. Nie rozumiemy się; pomódz a pomódz to dyferencya duża, a i nasz Karolek poświę-

cenia nie żąda. To z sercem człowiek, on jałmużny nie przyjmie.

— Jałmużny?—spytała z wyrzutem.

— Paniusiu kochanieńka, nie płacz, nie krwaw-że sobie serca... pogadajmy oto spokojnie, jak przyjaciele, jeżeli ten zaszczytny tytuł przyznasz mi pani...

W odpowiedzi na to pani Karolowa rękę staremu podała.

Uściskał ją serdecznie, a przysunawszy krzesło swe bliżej, mówił głosem niżynym:

— Widzi, pani kochana, my wszyscy sercem grzeszyli, a nagrzeszyli tak dużo, że ledwie rozum długich lat te grzechy odkupi! Tak nas wychowano, tak myśmy nasze dzieci chowali! a przez to było źle i jest, pani kochanieńka, źle, bardzo źle jest z nami...

Nie odpowiadała pani, zmużdżin zaś rzecz swą dalej prowadził:

— I wychowanie nasze jakież było? Niby to każdy umiał coś, tu chwytął, tam połapał, a w gruncie rzeczy nic nie było, bo nie było podstawy żadnej. Ot, w salonie, w towarzystwie, z ładnymi paniami także gadać, to się umiało, no—i jak przyszło poświęcić się, to już się poświęcało bez granic!—ale trzeźwości, rozumu, pani kochanieńka, nie było—i w tem nieszczęście, w tem zguba nasza, każdy był do wszystkiego zdalny, a jak do czynu przyszło... et! lepiej o tem nie mówić...

— Rzeczywiście, panie, gorzka to prawda.

— Widzisz pani, gorzka, ale pożyteczna, nauka w niej jest, nauka, jak dzieci do życia sposobić, jak

się starych przesądów pozbywać, jak ludźmi być i po ludzku rzeczy rozumieć. Ot, weźmij pani naprzykład choćby ziemian tylko, gospodarzy. Byłże który gospodarzem naprawdę? wiedział-że, dlaczego pszenicy po pszenicy siać nie można? Ot, robiło się także jak pradiadki, jak dziadki, ta sprzedawało się żydom, co Bóg zarodził, a zresztą nic, nic więcej. Karolek panią serdecznie prosić kazał, żeby Janka uczyć praktycznie, że jeśli gospodarzem być zechce, żeby fachowym był koniecznie, żeby kształcił się na to.

— Czyż ja wiem, co z niego będzie? takie dziecko...

— No, no, nie teraz, później; ale tak prosił, tak prosił, że na co pani chcesz chowaj go, aby chowaj dobrze!... Ma-li szewcem być, niech umie buty szyć, niech na skórze się zna, niech wie, gdzie sprzedać swój towar, bo to grunt, pani kochanieńka, to grunt! bez tego żyć nie można. Życie dziś twarde, paniusiu, jak krzemień..

— O twarde! zaprawdę, strasznie twarde jest ono.

— Tembardziej, pani. Ot i Karolek nasz tak rozmyślił, chociaż kaleka teraz biedak, jedną rękę ma tylko, ale nie chce na świecie żyć próżno, nie chce, żeby majątek przejadał. Wróci on do was, wróci niezawodnie, przyrzeczono mu to, ale jeszcze czekać trzeba. To właśnie my myśleli oba, żeby on przez ten czas uczył się, do szkoły rolniczej chodził—ot, i po to ja jego do Belgii zawiozłem, droga pani. On tam uczy się i jak z powrotem przyjedzie, to gospodarzem prawdziwym już będzie. On znajdzie środki na edukację dzieci, na spokojny kawałek

chleba na starość. Tak, tak, droga pani, nie płacz, że go jeszcze nie widzisz, on powróci, ale powróci już innym, odrodzonym—i będzie pożytecznym tobie, pani, dzieciom... i krajowi całemu. Już może moje stare oczy nie zobaczą tego, lecz wy młodzi zobaczycie, zobaczy to małeństwo, w którym dzisiaj cała wasza nadzieja i ufność...

Długo tak prawił stary żmujdzin, aż się już i jutrzienka zarysowała na niebie, a za nią Ulade światło do pokoju zaczęło się wciskać.

Pani Karolowa spostrzegła się dopiero, że czas tak szybko przeleciał, a starowina potrzebował przecież wypoczynku po drodze.

Prosić go więc zaczęła, by na spoczynek się udał, by kości nieco po uciążliwej drodze wyprostował.

Żmujdzin z trudnością dźwignął się z krzesła i ciężkim, chwiejnym nieco krokiem, do oficyny poszedł. Pani zamknęła się w swoim pokoju, przed natrętnem światłem dnia zasłoniła roletę i pomodliwszy się gorąco, w ubraniu rzuciła się na łóżko.

Dyrdejko jednak spać nie poszedł. Przed drzwiami oficynki czekał na niego stary Marcin, który miał mu do powiedzenia tak dużo: ile kóp zwieziono, ile jest żyta w stertach, ile stogów na łące, ile jeszcze do zżęcia zostało, co tam przy budowlach brakuje.

Wszystko recytował stary, a Dyrdejko słuchał, głową kiwał, węża siwego pokręcał.

I o kłopotach różnych też Marcin zdawał relację. To wójt w same żniwa o jakies zaległe stójki pretendował, to Wojtek szkodę w łąkach zrobił, to

znów srokaty koń zakulał, jeden wół do świeżej koriczyny się dorwał i odratowano go ledwie. Było, było kłopotów różnych, co niemiara!

Uważnie słuchał Dyrdejko, jedno chwalił, drugie ganił, ale ostatecznie Marcinowi podziękował i rękę mu uściśnął, a potem walizkę otworzył, jakiś przedmiot owinięty w papier z niej wydobyl i wręczył starowin, mówiąc:

— To ci, mój Marcinie, Dziedzic przysłała na pamiątkę za twoje dobre serce i życzliwość.

Chłop papier rozwinął powoli. Była w nim ładna tabakierka, napełniona wonną francuską tabaką.

— O! Bóg zapłać paniskowi kochanemu—rzekł Marcin—że o mnie starym pamięta jeszcze, choć i między miemcami za morzem; ale na co se taki koszt wielki zrobił? dyć to tabakiera, co jensy probosc takiej nie ma!

— No, pamiątkę chciał ci dać, na znak, że cię szanuje i lubi.

— To je śtuka piękna — mówił — schowam ją też na samo dno we skzynkę, bo juści z takiego statku pięknego, to jeno chyba na wielganość tabakę niuchać się godzi... albo jaką osobę spaniałą potraktować;—na codzień to i moja brzozowa tabakierka z rzemykiem je dość.

— No, już jak tam twoja wola, mój bracie, a tymczasem w pole mnie trzeba...

— A dyć, wielmożny panie, pole nie zając, nie ucieknie, a tymczasem wartoby się krzynkę wywczasować po drodze... tyli śtuk świata przejechał.

— Nie, nie, Marcinie, pójdz ty do stajni, każ

mi konia osiodłać, a sam także podjezdka jakiego weź, to pojedziemy oba. Zobaczą ja, co wyście tu zrobili?

— Na co dworskiego kunia dla mnie brać, dyć tu i moje kobyliśko je, co mi dziedzicka pozwoliła, żeby się za stodołę pasła.

— No, to idźże bracie, a prędzej, bo ja niecierpliwy całą tę naszą biedę zobaczyć...

Po chwili fernal przyprowadził osiodlanego konia, a niebawem nadszedł i Marcin, prowadząc za grzywę swoją maleńką szkapinę.

On tam nie potrzebował ani uzdeczki, ani siodła, tylko pęto ze szkapiny zdjęte w rękę trzymał i tem swoją wierzchówką kierował.

Niebawem obaj w pole ruszyli. Dyrdejko małego wzrostu, krępy, na roslym koniu siedział, Marcina zaś, wysokiego chłopca, niosła szkapina maleńka, tak, że prawie nogami ziemi dotykała.

Marcin ręką na pole wskazywał.

— Zyto zerznąłem wszycko za pogody — mówił — a zęm se zmiarkowałem, że na owies i jęczmień we stodołę miejsca nie siła, takem zara na parobków huknął i takie ci dwie sterciska skaradne duchem postawili, jak kościółki wielgie, proszę pana.

— Dobrze, dobrze.

— Żeby jeno ludzie nie urzekli bez zajdrość, bo piękne zyto było... z kuniemy się schował; a psenica też galanta, jeno co owies pod lasem przypaliło krzynkę, ale ze i on też kiepski całkiem nie jest.

— Pani kontenta pewnie?

— Musi kontenta, ale musi i nie, bo lamentuje skaradnie... pewnie za dziedzicem tak...

— Ha! sama jędna...

— I pewnie — bo choć to je pani grzeczna i delikatna, ale zawdy, na to mówiący, babie przez chłopca je markotno.

Dyrdejko się rozśmiał.

— Tak powiadasz, Marcinie?

— A wiadomo panie, że tak. Ot, choć nie przymiezając i moja... ino, że ja tu tera we folwarku siedzę, to już tak cuduje stara, że jaz strach.

— Czemu?

— A bo jej się kucy...

— A ileż twojej babie lat będzie?

— Kto ją ta wie? i pewnieby som pisorz nie zrachował! Ja jej gadom: Małgoś, cegoj-ze ty chces bestyjo? po dobrości — a ona nic, lamentuje i gado: siedź w chałupie, kiej ci dobrze... a co mi ta z chałupy? ja już stary, grunt dzieciom odpisałem, jeno com se krowinę i to skapsko ostawił.

— To wiesz ty także co? kiedy tak, to ja ci tu mieszkanie każę wyporządzić, ordynaryę i pensyę ci dam... Na karbowego chodź do nas, będziesz miał kawał chleba do śmierci.

Chłop po głowie skrobać się zaczął.

— Cóż? na łasce dzieci będziesz siedział? pa-trzył im na ręce?

— To je, panie, prawda, jeno ze...

— No, więc cóż?

— Zawdy przeszkoda je...

— A jakaż to, mój ty kochaneńki?

— Jedna, bo widzi pan, baba...

— Baba?

— A bo nie? Zawdy hambicyjo taka, gospodynią była, a tera na starość we służbę, to jej się niebardzo spodoba.

— No, a druga?

— Druga, panie, gorsa—to je mój urząd.

— Jaki znów urząd?

— To wielmożny pan nie wiedzą? Dyc ja jestem za sołtysa.

— To takóž głupestwo, kochanie... z babą pogadaj, namów ją.

— E! panie, abo to kto babę namówi, jak se co uwidzi?

— Więc cóż zrobisz?

— Wypiorę babsko galanto i siabas! — to bajki, panie, ale najgozej z uzędem.

— No, to już ja się postaram, żeby cię zwolnili i innego wybrali, tylko ty baby nie bij, bo to takóž czort wie do czego podobne!

Chłop milczał.

— No, namyśl się, braciszku — mówił żmujdzin — źle tobie z nami nie będzie, toż ty dziedzica naszego dzieciakiem na rękę nosił.

— Oj! abo to raz, prosę pana?

— A no, więc tembardziej...

— Oj, nosilem ja go, wielmożny panie, nosilem, jak jesce nieboscyka starego pana młodym nazywali, a ten znowu prawdziwy stary pan, niby tego, co go starym popóźniej nazywali ociec... to już był letni człowiek i niezadługo tez pomer. Dyc oni tu wszykie przy mnie urosli i wychowali się — jeno ze

na zadnego taki ścisk skaradny nie przysedł, jak na tego nasego pana...

— Na pana Karola?

— A juści, na onego pana Karola... pamiętam dokumentnie jak go krzcili; to heca była, bo nieboscyk, choć i pan Pieter, niech tam se z Bogiem odpoczywa, bardzo za chłopami był, a nieboscka pani, no, jak pani, toby znowu ze samemi hrabiami chciała — i bez to bywały między niemi chwestyje...

— Klócili się?

— E! nie — toć w pańskim stanie tak się nie swarzą, jak u nas, jeno jak co, to nieboscka pani w lament i zara se kaze powóz zaprzagać i duchem do ciotki, według pociesenia, a nieboscyk pan Pieter jeno się śmieje, bywało. Tak jak się, na to mówiący, pan Karol narodził, tedy go bez cały kwartał nie krzcili, bo pani się chciało hrabięgo z Dolinówki za kuma, a pan znów chciał prostego ślachcica, i znów się przemówili, bez to pani zara dziewczkę do stajni pchnęła, żeby do powozu zakładać — i do ciotki! a pan, niby nieboscyk pan Pieter, znowu huknął na fornala, żeby do wozu zaprzagał.

— No, takóž komedya! i pewnie do jakiego wujaszka pojechał?

— Gdzie zaś? wielmożny panie. Čtyry konie do woza zalozyli, a wóz był worychtowany w drabiny jak do siana. Kiej Maciek, juz on nie zyje dawno ten Maciek, zajechał przededwór, tak pan mówi do dziewczki: — siadaj z bachorem! niby z panem Karolem — i pojechali na wieś. Dopieroz we wsi — stój! Nieboscyk pan z woza zlazł i zawołał gospodarza jednego, co się nazywał Karól Jaskółka, i znów z drugiej cha-

lupy gospodynię babę Wincentową i powiada: ja was, moje ludzie, w kamy prose! Zara siedli se na wóz, pojechali do kościoła, okrzčili, i według tego krzesnego ojca dali dziecku na imię Karól. To taka stuka byłal

— A cóż pani?

— Ha, cóż miała robić? drugi raz juz ksiądz nie okrzcił! jeno jej się to najgozej przykzyło, ze imię dali chłopcu paskudne, bo ona chciała jakości Pimpilijon, poctolijon... cy jakoś... bo i spamiętać trudno.

— A to ja nic nie wiedziałem o tem.

— Tak je panie, sprawiedliwie, toć ludzie we wsi wiedzą; — co tam później między państwem było, to ja nie wiem, jeno ze się dzieciok chował na psa urok... a dowścipny był, panie, i grzeczny... i później cłowiek z niego był dobry, jeno ze tera Bóg miłosierny taką biedę na niego dopuścił...

Jechali jakiś czas milcząc. Dyrdejko po polach oczami wodził, chłop zaś w dawnych wspomnieniach zatonał, machinalnie tylko szkapę pętem po bokach uderzał, aby z koniem Dyrdejki dążyła.

Żmujdzin przypatrywał się polom, na których niewiele już do zbierania zostało.

Słońce, które właśnie wschodziło, oblewało całą okolicę złotym jakimś blaskiem, woda perlita się w rzece.

Po chwili Dyrdejko do przerwanej rozmowy powrócił.

— Jakżeż, Marcinie, namyśliłeś się? widzisz, mnie takóž jakiś uczciwy cłowiek potrzebny, mnie już lata ciężą... jakoś nie tego się czuję...

— To tak z niewywcasu, wielmożny panie, jeno zeby się pan przespał krzynkę.

— A no, może i to być, ale tymczasem wyřczenia nie mam... namysł się więc.

Chłop zastanowił się trochę, po chwili wreszcie rzekł z rezygnacją:

— Ha, kiedy pan tak powiada, to juz co będzie, to będzie, ryzyk fizyk — ostaję!

— No, to i dobrze, a co masz robić, to wiesz.

— Co wypadnie, prose pana, ludzi pobudzić, kuzdej roboty dojrzeć, dobytku dopilnować, jak wiadomo przecie w gospodarstwie. Mógły ja i tak, przy dzieciach, jako tako do śmierci przebiedować, ale i pani mi krzynkę zal i przez roboty się kucy... no, i ornalija tez będzie...

Nim dojechano z powrotem do domu, już umowa stanęła. Marcin miał objąć niebawem mieszkanie i rozpocząć służbę, to też już nie wstępował na folwark, tylko wprost do wsi pojechał, zeby babie swej „przeperśwadować“. Dyrdejko wszakże upominał go surowo, zeby przy tej „perswazyi“ nie używał ani pięści, ani innych tak zwanych tępych narzędzi, co chłop przyrzekł z niechęcią, twierdząc, że tak tylko „na gębę“ baby w żaden sposób ani przekonać, ani przegadać nie można.

Dyrdejko powoli wjeżdżał do folwarku — dostrzegły go przez okno dzieci, które rano zazwyczaj wstawały, i ledwie stary z konia zdażył zsiść, już Janek zawisł mu na szyi, Helenka pochwyliła za ręce, a mała Władzia czepiała się surduta.

— Ach, dureńki wy moje kochane — wołał stary — robaczki najmilszel

I każde zosobna całował i pieścił, o bagatelki różne dopytywał.

— Was tak tatuś upieścić kazal, sto razy pocałować każde i gościńca wam przysłał ładnego — tylko już po to do mnie do stancyi chodźcie, bo tam w torbie zapakowane jest wszystko.

Z krzykiem wpadła dziatwa do skromnego pokoiku żmujdzina, a gdy się owa torba, niby puszką Pandory, otwarła, krzyk jeszcze większy się zrobił.

Janek dostał kilka książek przeslicznych z obrazkami, Helenka szkatuleczkę do robót, w której były nożyczki, szydelfka, igielki i naparstek małeńki, a Władzia otrzymała przesliczną lalkę z oczami, z włosami, a taką przytem mądrą, że jak ją ścisnąć, to wołała „mama“, a jak położyć, to zaraz zamykała oczy.

Władzia nigdy jeszcze tak mądrej lalki nie widziała; postanowiła też zaraz wszystkie dawne lalki za plot powyrzucać, jako brzydkie i głupie fatalnie.

Cheąc ten zamiar natychmiast wykonać, wzięła nową ulubienicę na rączki i szybko pobiegła do dworu. Helenka znów pragnęła się popisać przed mamą pięknym podarunkiem, a Jankowi pilno było ciekawe obrazki oglądać.

To też mali goście, otrzymawszy podarunki, opuścili szybko pokoik Dyrdejki — i żmujdzin sam jeden w stancyjce swojej pozostał.

Rzucił okiem po ścianach bielonych, spojrzal dokoła, jakby witając wzrokiem przedmioty, do których się od lat tylu przyzwyczail — potem głowę kilkakrotnie zimną wodą oblał, żeby rzeźwiejszym być, i zaraz wziął się do przejrzenia i uporządkowania rachunków. Pomimo znużenia i niewywcześnie, spać

nie szedł, gdyż przyzwyczajenie całego pracowitego życia nie pozwoliłoby mu zamknąć oczu przy świetle dziennem, kiedy wszystko dokoła rusza się i żyje.

Koło południa już rejestry i rachunki uporządkował i przekonał się z nich, że się rezultat pracy zapowiada dobrze, że dochody nietylko na bieżące potrzeby i na zapomogę Karolowi, ale nawet na spłatę pewnej części długu wystarczą. Rozjaśniła się twarz starego, wstał, przeszedł się kilka razy po pokoju, zatarł ręce, a potem wzrok na obraz nad łóżkiem wiszący rzucił.

Szczera modlitwa dziękczynna była w tem spojrzeniu.

.....

VII.

Od czasu owego upłynęło lat dziesięć.

Dziesięć lat! Jak łatwo wymówić lub napisać dwa te wyrazy króciutkie, a jednak ileż to godzin pracy, ile uśmiechów, lub też łez i westchnień, składa się na ten okres czasu... Ile łez i westchnień, gdy zwłaszcza droga życia nie ścięła się różami, gdy wędrówka odbywa się po ścieżce wąziutkiej, wśród ostrych cierni i głogów.

Dziesięć lat! Kawał to czasu niemały — przeszedł on dla Zarzeczka cicho, jednostajnie, bez nagłych wstrząszeń i zmian gwałtownych. Rzeka toczyła jak przedtem srebrne swoje wody, niezmordowany młyn gdał i trajkotał jak dawniej, stare lipy szumiały, na stodole klekotała dziesiąta generacja bocianów — i wszystko było jak niegdyś, tylko drzewa już cień większy dawały i rozrosły się bardziej, tylko w folwarku kilka nowych przybyło budynków.

Zniknął ślad pogorzelska, nie masz już zgłiszczy dymiących, wszystko zdaje się odradzać, do nowego życia wyrwać...

Wiatr pozwiewał popioły, węgle przyorano już dawno, a mogiły zapadły i zrównały się z ziemią.

Macierzanka rośnie na nich i rozchodnik, młode zajączki tu igrają, czasem skowronek zapadnie i znów się wzbije w górę i śpiewa, zawieszony w powietrzu, między grobami a niebem.

Stońce pali się wysoko, złoci łąki i zboża, perlistą rosę z ziół spija, w górze białe obłoczki gonią się, rozdzielają i łączą, niby gołębi stada, a wietrzyk figluje na łące i barwne główki kwiatków kołysze; to je zupełnie w trawę chowa, to znów podnosi i prostuje — ot, jak pustak zwyczajnie, za mały jeszcze na to, żeby śmigi u wiatraka obracał, więc poszedł figlować na łąkę...

Biały bocian kroczy poważnie po smugach, wrona za sochą dąży i pędraki z rozoranej roli dobywa; wysoko, wysoko w powietrzu bystrooki jastrząb się waży — jak zawsze, jak codzień, jak co rok.

I któżby powiedział, że ta ziemia, pokryta zbożem bujnem, dźwigająca na sobie tyle istot żyjących, zestarzała się o całe lat dziesięć, kiedy jeszcze jest taka młoda, taka żyzna a piękna! Czas nie odbiera jej nigdy uroku młodości, on tylko dziela rąk ludzkich niweczy, a na czołach naszych bruzdy orze.

Wśród lśniących, czarnych jak krucze skrzydło, włosów pani Karolowej, przewijają się gęściej niż przedtem nitki srebrne, ale twarz nie straciła pomimo tego piękności dawnej i uroku. Z wyrazu oczu więcej już pogody, więcej nadziei przebija, na ustach błądzi czasem uśmiech, a biała, drobna ręka, nie jest tak wyszczupłała i sucha jak dawniej.

Kobieta to piękna, chociaż już jej wiosna, a nawet południe życia przeminęło, piękność jej da się porównać do piękności naszej polskiej jesieni, uśmie-

chniętej, pogodnej, spokojnej. W sercu tej kobiety nie wygasła jeszcze i tęsknota i żal. Samotna, jak dawniej, czeka jeszcze — ale czeka z nadzieją, z pewnością już niemal, że dni smutków są policzone. Gdy o tem myśli, serce jej żywiej uderza, na twarzy wykwita rumieniec przelotny. I dla niej się jeszcze szczęście uśmiechnie, i dla niej powróci wiosna życia, którą niezwykle mrozy zwarzyły przedwcześnie...

Wszak bywa tak czasem i w naturze; zdarza się, że jabłonka na jesień obsypuje się kwiatem, że fiołki powtórnie kwitną...

Krótkotrwałe to kwiatki, co prawda, lecz kto same ciernie miał w życiu, temu i ów jesienny, przez kaprys przyrody rzucony kwiateczek, skarbem wydawać się musi.

Listy częste, coraz częstsze bywały i nadzieja rosła — a stary, wierny, jak zawsze, Dyrdejko, z niecierpliwością ziszczenia się tej nadziei wyglądał.

Oczekiwał, wyglądał. Czuł, że mu lata już ciężą, sił braknie, że jakaś niewidzialna dłoń żelazna schyla mu głowę ku ziemi. Często w zadumę wpadał i dziwna, niewytlómaczona ogarniała go tęsknota.

Wprawdzie najbliższych przeżył; wszyscy, których kochał niegdyś, pomarli, a nawet piękna ongi, modrooka, rozmarzona Jadzieńka, co później zapomniiała o nim i za Kielsza poszła, także opuściła już ten padoł płaczu i niedoli i legła na wiejskim cmentarzu na Żmujdzi... Sam jeden został starowina, sam tylko, więc nie miał się spieszyć do kogo. Tu raczej, w Zarzeczcu, mogło go coś wiązać do ludzi, bo tu znalazł serca przychylnie, szacunek sobie zaskarbił i miłość; ale pomimo, że go najserdeczniej-

szą otaczano troskliwością, niecierpliwił się stary, tęsknił, a wciąż się do drogi wybierał.

— Czas mnie już takż — mówił — czas wielki!... już bo i grzbiet się wygiął i głowa ciąży ku ziemi... żebyż już raz nareszcie ten Karolek przyjechał, żeby ja mógł w ręce jemu was oddać i — odejść spokojnie.

— O! nie mów pan tak smutnie, panie Fulgenty — prosiła pani Karolowa — żyliśmy tyle czasu razem w ciężkiej doli — czyż więc teraz, gdy już lżej nieco, gdy promyk nadziei błyska, mamy się rozstawać, rozłączać?

— Ej, próżna to pociecha, pani kochanieńka, niedługo my z sobą będziemy... już bo do Dziundziszek mnie pora... matka mnie woła... Żmujdz święta. Tamby się chciało kości stare złożyć, tam spocząć, przy kościółku biednieńkim, drewnianym, co go ledwie z pośród starych lip widać. A jak tam cicho — jak pięknie!... Rwie się dusza do tego miejsca, rwie serce... o! zdaje się piechotą, o kiju powłóklby się człowiek w strony tamte, oj powłókl...

Pani Karolowa uspokajała go, prosiła. Wmawiała w niego, że trzyma się jeszcze dobrze, że zdrow — chociaż sama wierzyć w to nie mogła.

Ów silny, krępy żmujdzin, do niepoznania się zmienił. Dreptał wprawdzie jeszcze po folwarku, niekiedy kałamaszką małą w pole wyjeżdżał, ale czuł biedak, że mu już sił braknie i nogi odmawiają posłuszeństwa. Już teraz wygod większych potrzebował, snu więcej, a zdarzało się czasem, że na krzesło usiadłszy, głowę schylił na piersi i drzemał. Sił brakło...

Gęste włosy zbielały mu całkiem, jak mleko, twarz pokryła się licznymi zmarszczkami. Uśmiech rzadko się na tej twarzy pojawiał, ale za to, gdy w marzeniach starowina utonął, gdy obrazy minionych czasów przywoływał na pamięć, to do oczu napływały mu łzy i dużymi kroplami spływały po twarzy.

W ciężkich godzinach doli twardej, w smutnych chwilach życia, nie płakał nigdy Dyrdejko, mężnie każdą przeciwność i każdy ciężar znosił, a teraz, z la-da powodu rozrzewniał się jak dziecko...

Czyż każdy człowiek musi wszystkie łzy swoje wypłakać?

Z upadkiem sił i zdrowia wymykał się także zarząd gospodarstwem z rąk Dyrdejki. Pani Karolowa, która była ciągłym świadkiem pracy żmujdzina i rozumiała doskonale jego system, teraz, nieznacznie, stopniowo, sama obejmowała rządy, a czyniła to z wysoką i szlachetną delikatnością, ze staraniem szczególnem, aby nie dać poznać żmujdzinowi, że już stary i słaby, że steru w drżących rękach utrzymać nie może.

Nominalnie wszystkim zarządzał Dyrdejko, w każdej kwestyi zasięgano jego rady, a klucze od spich-rza, ten rodzaj rządowskiej buławy, Marcin co wieczór regularnie do stancyjki pana Fulgentego odnosił i o całym dniu relację dokładną zdawał.

To przekonanie, że jest jeszcze użytecznym, że pracuje — utrzymywało Dyrdejkę przy życiu i przy Zarzeczcu. Gdyby nie ono, nie chciałby starowina chleba darmo jeść — i powłókłby się pewno do swo-

ich Dziundziszek, śmierci czekać, tak jak teraz przy-jazdu Karola oczekiwali.

Starano się uprzyjemniać chwile staremu. Ce-lowwała w tem szczególnie Helenka, która już na piękną pannę wyrosła. Umiała ona zawsze zabawić i rozweselić żmujdzina. Dźwięcznym, metalicznym głosem czytywała mu często Mickiewicza, którego starowina bałwochwalczo uwielbiał, albo też Kacz-kowskiego z dawniejszych czasów obrazy. Stary słuchał, zachwycał się, płakał nieraz, a piękną swą lektorkę po rączkach całował i najdroższą swoją wnuczką nazywał.

W szachy też z sobą często grywali, a że Dyr-dejko miał szczególną do strategii słabość, więc też plany szerokie rozwijał, ożywiał się, a cieszył każdym wzięciem figury, każdym posunięciem szczęśliwym. Z wygranej radował się jak dziecko.

— Widzisz także, Helusiu! czego się zachciało? Nie ze mną tobie wojować! nie ze mną! Ot, jeden szach, ot drugi mat! lecz nie martw się, panienko. Wielki Napoleon był wielki, a czasem także zfusze-rował porządnie... No, no, nie gniewaj się, mała — daj łapkę, pocałuję za to.

Helenka udawała, że się martwi, że ją ta prze-grana bardzo żywo obchodzi, a Dyrdejko śmiał się, cieszył, potem zmęczony ciszej już mówił, aż narzeczcie w zwykłą swą zadumę zapadł, głowę na po-ręczy krzesła oparł i — usnął.

Wówczas Helenka z troskliwością, jak matka dziecku, poduszeczkę małą wsuwała Dyrdejce pod głowę i po cichutku wychodziła z pokoju.

Ze wszystkich dzieci pani Karolowej jedna tyl-

ko Helenka znajdowała się w domu obecnie. Janek już szkoły skończył i w instytucie rolniczym się kształcił. Władzia była w Warszawie na pensji — Helenka tylko, ukończywszy edukację, powróciła pod strzechę niskiego dworku w Zarzeczu.

Dworek też z przybyciem jej ożywił się znacznie. Ściany zdawały się bielsze i kwiaty piękniejsze, bo tu, gdzie niedawno jeszcze słychać było westchnienia tęskniącej i osamotnionej kobiety, dziś dźwięczał nieraz śmiech srebrzysty lub rozlegały się tony rzwanej piosenki.

Młodość jest bowiem jak wiosna, roztacza ona wokół siebie czary i uroki, a widok jej starych nawet zachwyca i do życia zachęca.

Lecz przypatrzmy się Helence, którąśmy na początku niniejszego opowiadania jako sześcioletnią, lalkami zajętą dziewczynkę, poznali.

Zdawało się wówczas, że sensatka wielka z niej będzie, ale ta przepowiednia nie ziściła się ze wszystkim, gdyż na różowych usteczkach dziewczęcia błdzi ciągle uśmiech wesoly, a w dużych oczach świecą iskry życia.

Dziecko na piękną pannę wyrosło. Co święto w skromnym wiejskim kościółku nie jedno spojrzenie zwraca się ku niej, spojrzenie, pod wpływem którego dziewczeczka spuszcza powieki, a wówczas długie, jedwabiste jej rzęsy rysują się wyraźnie na tle białej, zarumienionej lekko twarzyczki.

Dotychczas jednak serce dziewczęcia uderza spokojnie i równo. Dumki jej płyną cicho, jak kryształowy strumień wśród łąki. Dziewczyna kocha serdecznie matkę, ojca, do którego tęskni, Janka, Wła-

dzię i starego przyjaciela Dyrdejki; zresztą serce jej jest wolne zupełnie, uśpione jak dziecię na kwiatach...

Helenka już pół roku w domu przebywa. Pomaga matce w zatrudnieniach domowych, pielęgnuje starca, który coraz więcej potrzebuje opieki. Pani Karolowa marzy, że gdy mąż powróci, to dom wówczas otworzą, przyjmować zaczną i może znajdzie się ktoś, dla którego serce dziewczęcia żywszem tętnem uderzy.

Kochająca matka może już upatrzyła kogoś, może snuje jakieś bliżej określone plany, ale te na później, na później odkłada i myśleć o nich nie lubi, bo ciężko będzie matce rozstać się z ukochaną pieczątką swoją.

Tak dobrze jej z córką, takby ją długo przy sobie mieć chciała...

Spędzili razem lato i jesień — i zimy doczekały już, bo oto koniec lutego się zbliżał.

Noc była.

W dworku i folwarku spali już wszyscy oddawna, tylko w stancyjce Dyrdejki, w oficynie, paliło się światło.

Wicher hulał po polach, tumany śniegu rzucał, drzewami staremi wstrząsał. Ciężko było na świat wyrzecz — psy nawet tuliły się pod budynkami, skomląc żałośnie, taki szkaradny był czas tej nocy. Dyrdejko w stancyjce swojej leżał. Światło lampy padało na jego twarz, jak wosk żółta, na oczy głęboko zapadłe... pierś podnosząca się z trudnością. Wyszłe ręce starca skubały ciągle koldrę, wzrok utkwiony był stale w punkt jeden.

Po chwili chory wyciągnął rękę, wziął dzwonek ze stolika przy łóżku i głośno dzwonić zaczął.

Na ten dźwięk dziewczyna zaspana, w ogromnej chustce na głowie, do pokoju weszła.

Żmujdzin, zobaczywszy ją, na poduszkach się uniósł i słabym głosem rzekł:

— Marcina zawołaj...

Nie w smak to było dziewczynie biedz w nocy na folwark, tembardziej, że wichura nabawiała ją trwogi, ale spojrzawszy na twarz chorego, domyśliła się zaraz, że o coś ważnego tu idzie...

Przeżegnała się też kilkakrotnie i boso pobiegła po śniegu, a po chwili całą siłą pięści kołatała do okienka w czworaku, wołając:

— Marcinie! a wstawajta-ze duchem!

Wstał stary, obuł się, kozuch wziął na siebie i poszedł, chcąc dziewczkę rozpytywać po drodze, ale nie dowiedział się wiele.

— A juści — rzekła — mom gadać? dobrze wom w butach! a mnie ten śmig, psia dusa, parzy jak zielezo po nogach.

Miała słusność Magda — i zanim Marcin dziesięć kroków uszedł, ona już była w sieni.

Chłop pocichu do stancyjki się wsunął i przy drzwiach stanął, „pochwalony“ rzekłszy.

Dyrdejko skinieniem ręki przywołał go bliżej.

— Słuchajno, Marcinie — rzekł głosem słabym — źle ze mną...

— Dyc je Bóg miłsierny, panie, poratuje...

— Ja też już tylko Boskiego poratunku pragnę i dlatego cię budzić kazał.

— Cý według dochtora moze?

— Eh! bajesz takóž ty, Marcinku, z doktorem; doktor cudu nie zrobił! Śmierć idzie. Ot, ty do sa-

nek kaž zaprządz i po księdza mi pojedź, a pośpiesz, pośpiesz braciszku, bo już dnia nie doczekam moze... proboszcza samego ty poproś.

Chłop, milcząc, do odejścia się zabierał, Dyrdejko jeszcze skinął na niego.

— Tylko, mój Marcinie, mój stary, po cichutku to zróbcie — dzwonka do sanek nie brać, pań nie budzić, niech one śpią spokojnie.

Marcin prędko sprawić się przyrzekł, a zalzawione oczy rękawem ocierając, nachylił się nad chorym i szepnął:

— Je Bóg Wsechmogący, On przemieni...

I z temi słowy wysunął się z pokoju. O ile stare nogi pozwalały, szybko do stajni pobiegł, fornala obudził i nie upłynęło dziesięć minut, a już wyjechali z folwarku.

Śnieg pozawiewał wszystko, nigdzie śladu drogi, konie stapały ostrożnie, parskając, wężąc drogę, schylały coraz łby ku ziemi, jakby chcąc ślady znaleźć. Ale gdzie tam ślad jaki?

Trzeba się było zdać na instynkt zwierząt, bo nawet chłopskie oko, do ciemności i do dróg nocnych przyzwyczajone, nie mogło nic rozróżnić. Zaraz za folwarkiem stracili drogę, sanki uderzały o zagony, konie zapadały w rowy, jamy jakieś, Marcin głowę tracił...

Nareszcie ujrzeni jakieś światelko i obaj z fornalem zgodzili się na jedno, że to w Kościelnej żyd karczmarz świeci jeszcze. Postanowili więc, nie szukając już drogi, wprost ku temu światłu się kierować. Na rzece lód mocny, a byle się tylko na łąki dostali, to pospieszą.

Rzeczywiście, wśród zawieruchy szkaradnej i ciemności, był to środek jedyny.

Fornal popędził konie i niezadługo uczuli, że spadają z jakiejś wysokości, którą, jak się domyślili łatwo, był urwisty brzeg rzeki. Podnieśli sanie, poprawili poplątaną uprząż na koniach i szczęśliwie wydostali się na brzeg przeciwny, na łąkę.

Tu już, na równej przestrzeni, droga bezpieczniejszą była i konie, czując pewniejszy grunt pod nogami, pomknęły szybko o tyle, o ile na to wiatr straszny pozwalał.

Marcin wdychał ciężko i pacierz półgłosem odmawiał, fornal od czasu do czasu na konie krzyknął, a czerwone światelko coraz się bliżej a bliżej przysuwało.

Gdy stary Gajda z fornałem, wśród zamieci i wichru przebijali się przez zasy pyłowe, dążąc ku Kościelnej, w Zarzeczu na folwarku i we dworze ruch się zrobił; we wszystkich prawie okienkach za jaśniało światło.

Uśpionych zaalarmowała Magda, która, lękając się być blisko konającego, pobiegła zaraz do kuchni i pobudziła służbę.

Na krzyk, że „rządca“ umiera, zerwali się wszyscy na nogi.

Pani Karolowa z Helenką, ubrawszy się naprędce, wnet do oficyny pospieszyły.

Dyrdejko nieprzytomny prawie, z oczami na wpół przymkniętymi leżał. Pochyliła się nad nim Helenka i mówić do niego zaczęła.

Chory oczy otworzył i uśmiechnął się do niej. Podali mu łyżkę wina starego. Widocznie orzeźwiło

go trochę, gdyż rękę do pani Karolowej wyciągnął i cichym głosem przemówił:

— Dzień to już, czy noc jeszcze?

— Noc, noc — odparła — widocznie było jakieś osłabienie chwilowe, dzień nadejdzie, z nim polepszenie i ulga.

— A czy Marcin pojechał? — spytał żmujdzin.

— Już, już, co tchu popędził, tylko co go nie widać.

— To dobrze, dobrze, pani kochanieńka, chciałoby się po chrześcijańsku umrzeć, z Bogiem i ludźmi pojednać...

I znów głowa starca na poduszki opadła. Helenka jeszcze mu trochę wina podała, chory je wypił i w senność wnet zapadł. Widocznie jednak wino pokrzepiło nieco siły już nękane, bo sen był spokojny, oddech równiejszy, nawet na wybladłych policzkach ukazał się słaby, ledwie dający się dostrzedz rumieniec.

Tylko ręce, na piersiach złożone, poruszały się chwilami, skubiąc koidrę lub mały krzyżyk, zawieszony na piersiach.

Pani Karolowa uklękła przy oknie i modliła się rzewnie. Helenka siedziała przy łóżku i zażawionymi oczyma patrzyła w twarz starca. Patrzyła z żalem i trwogą pewną, z tym nicokreślonym niepokojem, z jakim dziecię w grób otwarty spogląda...

Magda po stancyjce się krzątała, nakryła stolik serwetką białą, świece w srebrnych lichtarzach z dworku przyniosła. Rozpoczęły się przygotowania smutne. Żmujdzin spał ciągle. Stary zegar gdał mia-

rowo, minuty za minutami upływały, a każda tak się ciężką zdawała, tak długą...

Helenka pocichu zbliżyła się do matki. Ujęła ją za ręce — podniosła.

Obie kobiety spojrzały na siebie, jedna drugą uspakajała wejrzeniem, gdyż przemówić nie śmiały, by choremu snu nie przerwać. Matka oparła głowę na ramieniu córki i tak splecione w uścisku, podtrzymując się wzajemnie, płakały pocichu.

Świtać już zaczynało. Od wschodu na niebie pas jaśniejszy się rysował, już i drzewa zaczęły się wychylać z ciemności.

Na dziedzińcu ukazały się sanki. Fornał spienione konie przed oficyną osadził. Z sanek wysiadł ksiądz z Marcinem.

Rozległ się cichy dźwięk małego dzwonka, a na ten odgłos Dyrdejko oczy szeroko otworzył. Uniósł się na łóżku, westchnął i wyschłą ręką na księdza skinął.

Wszyscy wyszli z pokoiku, tylko spowiednik przy chorym pozostał.

Długo trwała ta spowiedź, w której nabożny żmujdzin obrazy całego życia swego przedstawiał, przewinienia i błędy swe na pamięć przywołując, a gdy już Sakramenta przyjął, pragnął jeszcze z panią Karolową pomówić. Nagle jednak inna myśl do głowy mu przysła...

— Marcina mi tu przyslij, księżu proboszczu — rzekł — mnie z nim trzeba w cztery oczy pomówić.

Ksiądz, uściskawszy serdecznie dłoń starca, poszedł do dworku, gdzie oczekiwano na niego, a po chwili Marcin przywołany przyszedł.

Dyrdejko, pocieszony już, spokojny, rzeźwieszym się zdawał. Nie leżał, lecz siedział raczej na poduszkach oparty, głos miał pewniejszy i wogóle polepszenie czuć znaczne.

— Marcinie — rzekł do chłopca — żyliśmy tyle lat po Bożemu i zgodnie... ty więc i teraz nie odmówisz mi ostatniej przysługi?

— A co pan chcą? — zapytał pocichu.

Dyrdejko ręką pod poduszkę sięgnął i pęczek kluczy wydobył.

— Weź-no ten kluczyk maleńki — tam pod ścianą dębową skrzyneczka stoi — otwórz ją.

Chłop skrzynkę na stole postawił i otwierać zaczął.

— Tam — ciągnął Dyrdejko — woreczek taki szary znajdziesz, nieduży — a co, jest?

— Je, panie, woreczek, maleńki akuratnie.

— To weź-że ty jego, mój bracie i przyjdź tu z nim bliżej, do łóżka; a wiesz-że, co tam w nim jest w środku?

— Nie wiem, panie, ciężkie cość jak piasek.

— Nie piasek to, Marcinie, nie piasek, ale garstka ziemi... świętej ziemi, mój bracie, ze Żmujdzi, ztamąd, gdzie się urodził.

— Daleko musi ztąd?

— O daleko, daleko, mój stary. Widzisz więc, jak ja umrę, to ty mi oczy zamkniesz i na nie tej ziemi nasypiesz. Wszak zrobisz mi to, mój Marcinie, nie odmówisz tej przysługi ostatniej?

Chłop załzawione oczy ocierał.

— A dyć ja myślałem, że wielmożny pan mnie staremu garść ziemi na trumnę rzuci...

— Wola Boga, braciszku — szepnął zcicha Dyrdejko — nie tu ja chciałem umierać — a no Bóg zrządził. Pójdźno ty jeszcze, pani i panienki tu poprosz, niech ja popatrzę na nich.

Nie trzeba było prosić, gdyż w tej chwili pani Karolowa z Helenką do stancyjki weszły. Marcin ku drzwiom się cofnął!

— Pani kochanieńka — mówił Dyrdejko, ujmując rękę zapłakanej kobiety — i ty, Helusiu kochana, przebaczcie, jeśli was w czem ukrzywdził lub obraził, nie wspominajcie źle... Ja was tak bardzo kochałem i Karolka naszego i Władziunię i Janka... Nie wspominajcie źle i niech was Bóg nie opuści nigdy...

Matka i córka głośnym wybuchnęły płaczem. Helenka wyszła rękę starca pochwyciła, przycisnęła do ust, oblewała łzami.

Przez jakiś czas trwało uroczyste milczenie, przerywane tylko tłumionem łkaniem kobiet i ciężkimi westchnieniami Marcina. Dyrdejko podniósł się trochę, na poduszkach oparł i zaczął mówić spokojnie.

Mówił długo o interesach, o folwarku, o gospodarstwie. Radził, jak i co robić, zanim Karol powróci, prosił pani Karolowej, żeby Marcina nadal zatrzymała — a i do niego także przemówił, żeby pani nie opuszczała i zawsze uczciwym, zawsze był wiernym, jak dotąd.

Chłop odezwał się jakby z wymówką:

— A dyćbym sumienia chyba nie miał, zebym tę pania, matkę naszą, miał tak ostawić we frasunku — sierotę.

— Ja też ci wierzę, mój bracie — mówił żmuj-

dzin — wierzę ci zupełnie, tyś dobry człowiek, Marcinie.

Upłynęła godzina prawie, przez ten czas chory to w senność krótkotrwałą zapadał, to znów ożywiał się, o różnych przedmiotach mówił i wogóle spokojnym był, tylko palcami wciąż przebierał i od czasu do czasu spojrzenie na obraz rzucał.

— A wieszże ty, Marcinku — zapytał — gdzie co na wiosnę siał będziemy?

— Wiem, wiem, wielmożny panie, dyć pan tyle razy pokazywał.

— A tak, pamiętajże bracie: owies będzie pod lasem, groch tam, wiesz, od gościńca, jęczmień za stodołą zaraz...

To były ostatnie jego słowa.

Obfite krople potu wystąpiły mu na czoło, głowa opadła na ramię, z piersi wyrwało się ciężkie westchnienie.

Pani Karolowa na kolana przy łóżku upadła, bezwładną rękę starca pochwyciła i przycisnęła do ust.

— Przyjacielu... opiekunie nasz! ojczel... — szepiała. Helenka zanosila się od płaczu.

Zrobił się krzyk i lament w całym dworze. Służba się zbiegła, gromnice zapalono.

Marcin do pani się zbliżył.

— Niech pani nie lamentuje — mówił — nie płacę... Bóg Najwyższy go zabrał, wola Jego święta... Już tu pani i panience robić tera co niema, ja się som przy nieboscyku ostanę.

Zanosząc się od płaczu, kobiety wyszły z pokoju, w którym rozpostarła się żalobna powaga śmierci. Marcin ciało zmarłego wyprostował, grubemi pal-

cam i wpół otwarte powieki przymknął, a potem woreczek rozwiązał i zgodnie z ostatnią wolą żmujdzina szczyptę ziemi na nie nasypał. Resztę zachował starannie, by do trumny mu włożyć.

Służba, która się zbiegła z folwarku, patrzyła na to w milczeniu, a Marcin krzyżyk czarny ze ściany zdjął, w skostniałe palce umarłemu włożył i mówił:

— Niech cię Bóg wszechmogący do chwały swojej przyjmie, boś był cłek sprawiedliwy, miłosierny, cudzej kzywdy nie pragnący, na gros ludzki nie chytry...

To rzekłszy, stary ręce zmarłego ucałował i zwracając się do obecnych ludzi, rzekł:

— Wy wszyckie, chtëre tu jezdešta, klękniĵta, zmówta pacicz za dusę nieboscyka, aby se odpocynał w spokoju wiecznym.

Na to wezwanie wszyscy na kolana padli i rozległ się gwar wspólnej, gorącej modlitwy, a nad gwarem tym górował głos srebrnowłosego chłopca, poważny, uroczysty, westchnieniami ciężkimi przerywany.

Twarz zmarłego nie wyrażała śladu cierpień przebytych, zastąpił na niej raczej uśmiech dobrotliwy i jakby zaduma jakaś poważna na wysokim czole.

Płomyk wielkiej, żółtej świecy woskowej drgał lekko, nad nim unosiła się czarna nitka dymu i ginęła w górze, zmieszana z westchnieniami ciężkimi i szmerem żarliwej modlitwy prostaków...

VIII.

Wiosna przyszła z całym bogactwem barw, woni i jasnych promieni słonecznych. W powietrzu zawieszwały się śpiewające skowronki, zwinne jaskółki zataczały kręgi nad wodą, muskając aksamitnym skrzydłem powierzchnię mieniającej się fali.

Ptactwo roiło się wśród gałęzi drzew, pszczoły pracowały na kwiatach. Ze śpiewem ptasząt mieszały się ludzkiej pieśni dźwięki — złota wierzba kąpała w rzece końce swych długich warkoczy.

Nawet brzozy na cmentarzach, te żałobnice smutne, szemrały gałązkami weselej, a na grobach barwne kwiateczki wykwitły.

Woly ciągnęły ciężkie pługi, konie pośpieszały w bronach, a tu i owdzie, na poletkach małych, miedzami przedzielonych gęsto, uwijali się chłopcy, rzucając w rolę grube ziarna jęczmienia.

Dworek zarzecki odnowiony, wybielony, jaśniał zdaleka, widocznie się na ciemnej drzew zieleni rysując, gałązki dzikiego wina oplatając ganek, liśćmi się pokrywać zaczęły.

W oknach białe firanki widać było i mnóstwo kwiatów pięknych, utrzymywanych starannie. Jed-

nie tylko w oficynie, w tym pokoiku, który przez lat tyle zajmował Dyrdejko, okiennice pozamykane były.

Nikt tam nie mieszkał...

Dobry, wierny, stary druh i przyjaciel, dawno już leży w ziemi—i to w jakiej ziemi jeszcze!

Pani Karolowa, na wniosek Helenki, spełniła chociaż po śmierci, gorące pragnienie żmujdzina — i zwłoki jego w dwóch trumnach, zalutowanych szczelnie, wysłała tam daleko... do Dziundzisek na cmentarz. Leży teraz, jak marzył, w swojej ziemi, wśród swoich, tuż przy ubogim kościółku drewnianym, którego z po za lip starych nie widać.

Tak więc spełniło się jedyne marzenie, które tyle czasu żywił w swej duszy dobrej, zacnej, szlachetnej.

W Zarzeczcu wspominają o nim często—a nie tylko wspominają ci, dla których opiekunem był w niedoli i ojcem prawie, ale mówią o nim często—i we wsi, przypominają uczciwe jego rady—i nie masz w całym Zarzeczcu chłopca, któryby, wymawiając nazwisko starego „rządcy,” nie westchnął ze szczerym żalem, serdecznie, bo prawość i zacność to ma do siebie, że każde serce zniewala, bez względu, czy ono pod cienkim surdudem, czy też pod grubą siermięgą uderza.

W tej wiosce, w ustroniu cichem położonej, nie ustawała praca, ale też i dobrobyt się wzmagał, a nie tylko na folwarku znać to było, bo i włościńskie siedziby wyglądały lepiej. Bielsze ściany chałup, większe okienka były niż dawniej, a nawet i ogródki pozakładano. W środku wsi, z inicjatywy

Dyrdejki jeszcze, wniesiono spory i schludny domek szkolny, na budowę którego pani Karolowa drzewa potrzebną ilość dała. Karczma natomiast nie była tak gwarną, jak dawniej, gdy jeszcze w niej nasz dobry znajomy, pan Jankiel Pacanower, przemieszkiwał.

I w jego losach także zmiana zaszła. Już obecnie nie szynkuje, nie siedzi na karczmie, a jeżeli handluje okowitą, to już większymi partiami, bo Jankiel to już nie szynkarz teraz—to osoba! Ma w miasteczku swój dom własny, prześliczny, z zielonemi okiennicami, z gankiem na dwóch złotych słupach opartym. W salonie, w którym zbankrutowanych swoich klientów przyjmuje, są już meble i wielki świecznik mosiężny.

Pan Jankiel jest „morejne” teraz, co sobota przywdziewa czapkę futrzaną i racimirowy żupan, pas jedwabny nosi, w synagodze na pierwszym miejscu zasiada... Należy do ojców miasta, kahalnym jest teraz i nawet go sam rabin odwiedza.

Powierzchność Jankla również uległa pewnej zmianie. Zostały na niej ślady walki, walki tradycyi z postępem—i to walki żarliwej, zawziętej.

Postęp przystrzygł mu nieco brodę, obrótnął ją trochę, tradycya zaś wywalczyła dla siebie jarmułkę i dwa małe, filuternie zakręcone pejsiki na skroniach. Postęp obciął mu o kilka cali kapotę, tradycya z pod kamizelki aksamitnej, jakby postępowi na złość, wychyliła białe tasiemeczki — „cycele.” Postęp czyścił mu buty niekiedy, tradycya aksamitną krymkę obsypywała pierzami—i tak dzięki walce tych dwóch sił potężnych, Jankiel był największym elegantem mię-

dzy żydami i najgorliwszym żydem między elegantami miasteczka.

Utył pan Jankiel, zmężniał, tuszy okazałej nabrał, a chociaż starym jeszcze nie był, jednak już trzech synów ożenił, dwie córki za mąż wydał i prócz tego jeszcze się radował w domu widokiem kilku delikatnych bardzo latorośli swego rodu, tak delikatnych jeszcze i małych, że im trzeba było pierniczki dla uciechy kupować...

Co rano, gdy na wzór Ateńczyków, obywatele żydowskiej mieściny schodzili się na forum błotnistem, na rynku — i komunikowali sobie nawzajem najświeższe nowości, przychodził także i pan Jankiel.

Jako człowiek mądry, skąpy był w słowach i niewiele zwykł mówić; słuchał jednak uważnie i według tego oryentował się w położeniu, jakie ta mikroskopijna giełda wytwarzała. Wstępował także po drodze na pocztę, gdzie uprzejmy urzędnik pozwalał mu przeglądać w gazecie ceny zboża i okowity.

Wszystko to czynił pan Jankiel z powagą, właściwą obecnemu jego stanowisku.

Właśnie i teraz się na rynek wybierał. Czapką aksamitną głowę nakrył, zakrzywioną laskę wziął w rękę i już przestępował próg swego domostwa, gdy od podwórka wpadł zadyszany żydek, wrzeszcząc zdaleka:

— Reb Jankiele, Jankiele! sy du a grojse nowinell! a solche czekawe sache!!

Pan Jankiel, jak na poważnego męża przystało,

ciekawości wielkiej nie okazywał. Spojrzał tylko na chłopaka badawczo—i lakonicznie zapytał:

— Ny?

— Aj waj!—wołał żydziak—a zarzieckie purec ist os de zagranice cygekimt!

Jankiel uśmiechnął się nieznacznie, potem do głębokiej kieszeni sięgnął, a dobywszy z niej czworaka, dał go chłopcu za pomyślną nowinę.

Winniśmy teraz objaśnić, dlaczego ta wiadomość mogła być interesującą dla Jankla—i dlaczego wywołała ona wielkie ożywienie w całej zabloconej mieścinie. Obywatele-handlujący przyjęli ją z wielką radością, nie dlatego wszakże, żeby ich tak szczęście cudze miało wzruszyć gwałtownie, lecz raczej z powodu, że przyjazd pana Karola przynosił im jakiś promyk nadziei. Od lat kilkunastu folwark zarzecki stopniowo, ale stale, przestawał być dla nich polem zarobku.

Dyrdejko do tego dążył konsekwentnie, z uporem i wytrwałością żmujdzina. Odprzedawszy chłopcom część gruntu, wyzwolił folwark od wierzytelności uciążliwych i niebezpiecznych i uniknął konieczności zaciągania nowych długów, a później z pachciarzem kontraktu odnawiać już nie chciał; młyn wdzierzawił młynarzowi fachowemu, poznańczykowi jakiemuś, a na karczmie osadził mieszczanina rzeźnika.

Ostatni opuścił Zarzece pan Jankiel Pacanower, któremu, jak widzieliśmy, nowy zawód, polegający na prowadzeniu interesów z zachwianymi finansowo właścicielami i dzierżawcami folwarków, przynosił piękne zyski.

W folwarku i we wsi było cicho, spokojnie, pijaństwo zmniejszyło się o wiele, chłopci do zamożności przychodzili potrosze.

Taki obrót rzeczy nie zachwycał wcale mieszkańców miasteczka, którzy też czynili wszystko, co mogli, aby na utracone stanowisko powrócić. Przy Dyrdejce wszakże było to niepodobieństwem; dziad bowiem twardy był jak kamień, a nawet na wyższe ceny dzierżawne skusić się nie dał. Po śmierci żmujdzina rokowania rozpoczęły się na nowo; przyjeżdżał do Zarzecza pan Jankiel, tłumaczył, ile taki system strat przyczynia, o ile większymi mogłyby być dochody stałe, gdyby korzystne oferty nowych konkurentów przyjęto—mówił nawet, że brzydko jest zrywać z tradycją—i z pewną, nawet subtelną dyalektyką dowodził, że Pan Bóg już tak świat urządził, żeby szlachcic bez żyda istnieć nie mógł.

Pani Karolowa bardzo grzecznie Jankla przyjmowała, prosiła siedzieć, częstowała herbata, pytała o nowości — ale co do interesu, oświadczyła stanowczo, że musi się trzymać systemu rządcy — i że, aż do przyjazdu męża, najmniejszej zmiany nie zrobi.

Delikatny rozum Jankla i dowodzenia jego pełne godności nie odniosły żadnego skutku—i z tego powodu przyjazd pana Karola był dla miasteczka interesującą nowiną; z tej przyczyny żydziak, który Janklowi ją przyniósł, dostał tak wspaniałe, jak na te ciężkie czasy, honorarium.

Janklowi wieść niespodziana program całego dnia zmieniała. Zamiast iść, jak zwykle, na rynek, powrócił do domu i do drogi wybierać się zaczął. Je-

dnocześnie też zalecił swemu stangretowi, aby przygotował bryczkę, co nie należało do łatwych zadań, gdyż przed każdym wyjazdem kowal i rytmarz musieli coś w tym pięknym ekwipażu reparować.

Dawniej, gdy Jankiel jeszcze w Zarzeczu mieszkał, jeździł zazwyczaj biedką, którą ciągnął znany nam już bucefał, ślepy kasztanek, ów waryat, co raz o mało swego chlebobawcy życia nie pozbawił.

Dziś zmieniły się czasy; kasztanka waryata dawno już psy zjadły na błoni, a biedka ani zdrowiu, ani sytuacji społecznej Jankla nie odpowiadała. Dziś podróż na tak niewygodnym siedzeniu sprawiałaby panu Janklowi dotkliwe ściskania w sercu, a przecież mąż ten nawet w roku zeszłym do Karlsbadu jeździł, wody pił, a ile go to kosztowało!? Jankiel nie bez pewnej dumy wspominał o tym wydatku, a do rozmowy wzmianki o szczegółach owej kuracyjnej wycieczki wtrącać lubił.

Gdy stangret, a zarazem pisarz od różnych interesów, Michel, zajął się kompletowaniem licznych śrubek i rzemieni, których przy ekwipażu brakowało, pan Jankiel zasiadł do śniadania i rozmyślał, w jaki sposób powracającego po tak długiej nieobecności powitać.

Układał on sobie w myśli mówkę krótką, ale serdeczną, która wyraziłaby nietylko indywidualną radość Jankla, ale uciechę całego miasteczka z powrotu tak godnej i szlachetnej osoby, a zarazem nadzieję, że przy dobrym zdrowiu i bardzo długim życiu, wzajemne stosunki ułożą się harmonijnie i zgo-

dnie, a system dawnego rządu ulegnie tyle požądanej dla obu stron reformie. Tak jak dziś jest, to do niczego niepodobne, tak się nigdy nie praktykowało i zapewne na przyszłość praktykować nie będzie.

Bo i do czego to prowadzi? Nawet zboża nie umieli sprzedawać za dawnego systemu. Nie wiadomo było, jaki żyd kupił? kiedy kupił? czy kupił? tylko nagle, ni z tego ni z owego, włożyli worki na wozy, odesłali na kolej—i po wszystkim! Czy to porządnie jest? Czy to kiedy panowie, godne osoby, w ten sposób interesa prowadzą? Wolno było temu, jako rządcy, podczas nieobecności właściciela g'upstwa robić, bo go nikt nie kontrolował, nikt mu w tej czynności nie przeszkadzał; ale gdy sam dziedzic rządu objął, to mu się kompromitować nie wypada, to musi już robić tak, jak inni bardzo godni i porządni panowie...

Długo tak rozmyślał Jankiel, brodę gładził i plan bardzo przekonującej mówki układał; potem wstał, przybrał się w szaty odświętne, nową czapkę włożył i przechadzać się zaczął po stancyi, snując różne plany i kombinacye—a były one widocznie liczne i różnorodne, bo na fizyonomii Jankla różne też malowały się wrażenia. To uśmiechał się ironicznie i szyderczo, to zamyślał poważnie, to znów z gestem niecierpliwości skrobał się po głowie.

Wreszcie na nierównym bruku turkot się jakiś zrobił; po charakterystycznym klekotaniu i brzęku różnorodnego żelastwa pan Pacanower poznał swój własny ekwipaż.

Ekwipaż pana Jankla istotnie przed gankiem stanął.

Była to najtyczanka na resorach, bardzo starożytnego fasonu, ongi podobność żółta, lecz dziś już nieokreślonej barwy. Z poobdzieranych jej boków niedyskretnie wyglądała słoma, a złamany stopień do wsiadania był przywiązany postronkiem.

Archeologiczny ten okaz nabył pan Pacanower na licytacji po jakimś eksmitowanym dzierżawcy; ztamtąd też pochodziły i stare szory angielskie, w które ustrojona była para koni, dobrze w całym miasteczku, a nawet i okolicy znana. Jeden z nich był ogromnego wzrostu, ranżer kawaleryjski, który, pomimo lat podeszłych fantazyi nie tracił i zawsze łeb nosił wysoko, druga zaś mała szkapina, z zapadłemi bokami i głową spuszczoną ku ziemi.

Pan Jankiel, w odświętne szaty ubrany, fajkę porcelanową na giętym cybuchu zapalił i na bryczce z powagą zasiadł. Michel biczem kilkakrotnie szkapę uderzył i ekwipaż z brzękiem i klekotaniem potoczył się po nierównym bruku miasteczka.

Nie będziemy towarzyszyli szanownemu finansście w tej podróży, tembardziej, że zanim do Zarczeczka dojedzie, jeszcze po drodze kilka interesów załatwić musi—a natomiast wyprzedzimy go i zajrzyśmy do znajomego dworku, w którym łzy i westchnienia ustąpiły radości, w którym teraz tak gwaro i wesolo.

Zdaje się, że wszystkie czarne chwile już pogrzebane zostały, a natomiast zajaśniała jutrzienka nowego i lepszego życia.

Co prawda, próżnem byłoby usiłowaniem kusić się o dokładny opis sceny powrotu i powitania po nieobecności tak długiej. W pierwszej chwili milcza-

ly usta, mówiły tylko lzy i uściśnienia serdeczno. Ale takie lzy schną szybko i po nich zazwyczaj następuje grad pytań krótkich, urywanych, tych pytań, któreby dziejów lat całych odrazu dobałać się chciały — odpowiedzi, pragnących te dzieje w kilku wyrazach zawrzeć.

Pan Karol, uszczęśliwiony, spoglądał to na żonę, w której pięknych oczach dawniejsze odnajdywał blaski, to na córkę znowu, co z małego dziecka, nie wiadomo kiedy, na tak dorodną pannę wyrosła...

Marcin stary też przybiegł i głośnym płaczem panicza powitał, ludzie z folwarku się zesłi, chłopci z bliższych chat przybyli, tak, że chwilowo robota nawet ustala, bo każdy się do dworu cisnął, aby tak dawno oczekiwanego powitać.

Pan Karol pod względem powierzchowności nie zmienił się bardzo.

Zmęźniał tylko nieco, spowaźniał, czoło stało się wyższem, a blond włosy jakby jaśniejszej barwy nabrały.

Duże, siwe oczy spoglądały otwarcie i szczerze, jak dawniej, a gdy się ku żonie lub córce zwracały, to w tem spojrzeniu malowały się radość i szczęście.

Była to chwila poobiednia. Helenka do swego pokoiku pobiegła i do pisania się wzięła, ażeby jak najprędzej z bratem i siostrą podzielić się radosną wiadomością, pan Karol zaś, jedyną swoją rękę żonie podał i do ogrodu z nią wyszedł.

Ileż wspomnień łączyło się z tym ogrodem! Cienisty, chłodny szpaler lipowy, słyszał niegdyś ci-

che szepty miłosne dwojga młodych, szczęśliwych, kochających się istot... tu także rozlegał się dźwięczny śmiech dzieci, a później to wszystko ucichło, ucichło na długo i tylko westchnieniom osamotnionej wtórował szmer liści przez wiatr trącanych...

Dziś, po latach smutnych, a więc długich podwójnie, lipy znów mają usłyszeć szepcący cichy, nie-domówione wyrazy, które pocałunek w połowie przyrywa... Usiedli na ławce, on białą rękę jej pieści, ona głowę na jego ramieniu wsparła i upojona radością, szczęśliwa, wsłuchuje się w dźwięk jego wyrazów, w których brzmi miłość i wdzięczność. Czyż nie należy jej się to słysznie za wytrwałość, za pracę, za staranne wychowanie dzieci? Więc też dziękuje jej słowem, spojrzeniem, uściśnieniem dłoni, dziękuje i nie widzi, że słońce ku zachodowi się schyla, że wielka jego tarcza już się obsunęła tak nisko, że z ciekawością w szpaler zagląda i popod sklepienie zielone lip rzuca ogromny snop promieni czerwono-złoty.

W szczęściu tak szybko upływają chwile, jakby je czas skrzydłami obdarzył.

Jeszcze jeden uścisk i jeszcze jeden i jeszcze... po ostatnim następuje ostatni, a potem cały szereg pierwszych znowu.

Ręka szuka ukochanej dłoni dla uścisku, pierś szybciej faluje, a w źrenicach drga płomień miłości.

Spóźnione to może... lecz i na jesieni bywają dni słoneczne i październik nawet uśmiecha się czasem do ziemi...

W takich chwilach fijołki kwitną powtórnie i bledniejąca trawka zieleniejszej barwy nabiera...

Mrok już zapadał, w ogrodzie odzywały się słowiki, młodziutki księżyc, jak sierp wygięty, zdawał się płynąć po obłokach i gonić za chmurkami białymi.

Państwo Karolowie powracali do dworku przez ów szpaler lipowy, cichy, tajemniczy, na wpół ciemny już teraz.

Na spotkanie ich wybiegła Helenka. Już napisała listy do rodzeństwa, już uprosiła Marcina, aby je natychmiast na pocztę odesłał, a teraz spieszy do rodziców. Spotyka ich razem, rzuca się ojcu na szyję, szczebiocze do niego, to znów ręce matki całuje, zapewnia, że dzień dzisiejszy to najszczęśliwszy w jej życiu. Żałuje tylko, że Janek i Władzia tego szczęścia nie dzielą.

Wszyscy troje zbliżają się ku dworkowi. Tam Marcin czeka już z raportem, z kluczami, z żądaniem dyspozycyi na jutro. Zamówił się dziad tylko temi interesami, a w gruncie rzeczy chciał on się tylko z panem Karolem zobaczyć, wypytać go o historię wypadku utraty ręki, opowiedzieć, co się przez ten czas w Zarzeczcu działo, jak stary rządca gospodarował i jak umierał... Chciał się wygadać starowina o wszystkim, a tyle się przecież materiału zgromadziło po temu...

Tymczasem na dziedzińcu turkot dał się słyszeć i psy ujadać zaczęły. Ekwipaż pana Jankla zatrzymał się przed gankiem.

Jednocześnie, gdy państwo Karolowie z Helenką przez drzwi od ogrodu do dworku wchodzili, pan Jankiel w przedpokoju otrząpywał się z kurzu.

Sam gospodarz drzwi mu od pokoju otworzył i wejść poprosił.

— Kłaniam, bardzo kłaniam wielmożnego pana i winsiuje państwa z tego wielkiego radościów, co pan dobrodziej przyjechał do nas po tak długiego wojażu.

— A, jak się masz, panie Jankiel? dziękuję, bardzo dziękuję za pamięć... siadaj pan, proszę, powiedz, co tu u was słychać?

— U! jestem bardzo sfatygowany, bo sobie okropnie strzęsiulem. Jak tylko nasze żydki powie dzieli, co wielmożny pan przyjechał, to ja zara kazałem zaprzęgać mojemu furmanowi moje pare koni do moje bryczke na resorach i leciałem tu jak parowa maszyna, żeby wielmożnego pana powitać.

— To już wiedzieliście, żem przyjechał: z kąd?

— Co my nie wiemy? to jedno; a po drugie, co my wielmożnemu panu tak wglądali... tak prosili Pana Boga, żeby się pan psiewrócił do nas jak najprędzej...

— Niepodobna?

— Oj, oj! żeby ja tak nieściście nie mjałem, jak u nas buło całe nabożeństwo do tego interesu...

— Za mnie?

— Ny, co wielmożny pan miśli, że zidy to wrogę? uni tak pana kochają... tak kochają, co ja nawet nie umiem tego opowiedzieć.

— Nie zasłużyłem, mój panie Janklu, nie zasłużyłem na to.

— To bajki, proszę wielmożnego pana, to jeszcze można.. odsłużyć.

— No i jakżeż tam przez te długie lata żyjecie, panie Janklu?

— Oj! takie życie! niech Bóg zabroni! niech nasze wrogi takie życie nie mają!

— Dlaczego?

— Dlaczego? ja wielmożnego pana co powiem: bez ten czas to cała okoliczność przewracała się do góry z nogami! Co było dobre panowie, to skapcała; a co sze ostało, to już nie jest dobre. Cóż jest jakiś czas bardzo paskudne... szlachta sze odmieniła, nie poznać!

— Pod jakim względem?

— Pod kuźdego względ. Dawno to było całkiem insze procedure. Byli panowie bogate, z pełnem giębem panowie. Prawda, co uni ksiknęli: „ej ty żydzie! Mordka, czy Szmull idź tam! psinieś to!” trocha po grubiańsku nawet, ale mieli miętkiego serca, dali zidkowi żyć. I to bardzo porządnie było.

— A dziś?

— A dziś? proszę wielmożnego pana, co to jest dziś? Czy to szwiat jest? czy to życie jest? Przyjdzie żydek do dworu, to szlachcic z wielgiem delikatnoszczem: — panie Jankiel, panie Szmull, każe jemu siadać na ksieslo!

— To właśnie dobrze, to grzecznie.

— Proszę pana, co z tego szedzenie, jak niema jedzenie? Un mi każe szadać, un mi mówi: panie, a jak przyjdzie do interesu, to un jest takie twarde jak gnat, co jemu, z psieproszeniem wielmożnego pana, nawet pies nie ukąsi. Przy takim politykie to cała zguba jest!

Roześmiał się pan Karol — a Jankiel dalej rzecz swoją prowadził:

— Prawdziwe ślachte — mówił — mało już gdzie

tera jest; co było najlepsze, to spsiedali ich na licytacye za bardzo kiepskie pieniądze, a co sze ostało, to niech Bóg zabroni! sama bieda! a te drugie, co jest, te nowotne, to jest takie ludzie, co sze przy nich nikt nie dorobi. Ny, choć przez urazy wielmożnego pana, ten stary rządca, co był tu, co już umarł, to un co dobrego zrobił?

— Wszystko jak najlepiej, mój panie Janklu, majątek utrzymał, z długów oczyścił, gospodarował dobrze, czegóż pan chcesz więcej?

— A dlaczego un taki mądry był? bo pół majątku między chłopcy poprzedał! wielgie mecyje! cieszył sobie, co mu się ostało kołnierż i z rękawami, jak sprziedał prawie całe kapote!...

— Więc cóż miał zrobić?

— Żeby się nas trzymał... My chcieli jemu dać pieniędzy, my jemu już dawali. Un nie chciał! un wołał tyle gruntu zmarnować! Un miyn popsuł, un propinacyów popsuł, un pacht popsuł! a grzeczny, bardzo grzeczny był! każdego żydka mówił „panie.” Jak un gadał! jak gadał! un gadał jak z miodem — ale do interesu to był jak z pieprzem. Kto co od niego zjadł, to miał bardzo gorzko w giębie. Zborzie to un chciał na warsiawskie cenę psiedawać! Czy wielmożny pan słuchał takie hece?

— Widzisz, panie Janklu, bieda rozumu uczy, rachować trzeba, kto tyle już przeszedł...

— Co psieszedł, psieszedł, wielgie rzeczy! i my psiechodzowali, a dlatego takie zidy jesteśmy jak dawno... przez żadne dyferencye.

— Przechodziliście także?

— Oj, oj! wielmożny panie—i jak jeszcze!

— I pan, panie Janklu? co prawda, nie pamiętam, żebym co słyszał o tem.

— Pan nie słuchał, bo pan sobie pojechał; a ja pana co powiem, że nawet ten psiechodzowany trzewik, co już tak psiechodzowany, że sze z niego tylko same dziurów ostalo, jeszcze tego nie psiechodził, co ja psiechodziułem!

— Nie może być?

— Tak jest, nawet, proszę wielmożnego pana, nie tak ja sam psiechodziłem, jak uno po mnie chodziło, jak dziś sobie psipomnę, to jeszcze mi idzie... mróz na pleców!

— No proszę, ale powiedz mi, panie Janklu, kiedy to było? jak? bo o ile wiem, siedziałeś przecie spokojnie w Zarzeczcu.

Na ustach pani Karolowej pojawił się uśmiech przelotny.

— Co o tem wspominać? proszę wielmożnego pana, to buło pfe, to grubiaństwo buło, rozbójstwo!

— Ależ przecie... zaciekawiony jestem bardzo.

— Ny, to ja pana powiem: to buło czas bardzo paskudne... nikt nie mógł zmiarkować na wieczór, jaki się jemu rano może psipadek zrobić.

— Tak, to prawda, to prawda...

— Nawet ja pana powiem, co moja ziona miała takie dzywne ciucie od Pana Boga; ja pamiętam co w tego dnia, to w piątek buło, una mówiła do mnie, coby ja nie jechał do miasto. Una prosiła mnie, nawet, z psieproszaniem honoru wielmożnego państwa, głaszczyla mnie za brodę i mówiła: słuchaj, ty moje Jankiel, nie jedź ty, mój kichaneczku do

miasta, bo mnie sze zdaje, co tam sze czebie coś złego psitrafi.

— I pan nie posłuchałeś tej rady?

— Cóż ja miałem słuchać, kiedy mnie tam trzeba buło odebrać od Fiszla pieniędzy?

— No, ale to do historyi przejść pańskich nie prowadzi.

— Oj waj! zaprowadziło mnie uno, zaprowadziło w takie paskudne miejsce, co niech ja jego już więcej nigdy nie oglądam!... ale niech wielmożny pan posłucha, jak sze to całe nieszczęście zrobiło. Pan wie, co to buło takie paskudne czas, co każdy musiał sobie poszwęcić...

— Więc i pan, panie Jankiel?

— Ny, co pan chce, wsistkie sobie poszwęcili, to i ja nie mogłem ostawać sze w tyłu...

— A cóż pan robił?

— Ja? ja dostawiłem zborzia dla wojsko! Uni tu stojali w miasteczku; antelernie buło i dragonów, a ten ciarny Fiszel, wielgi kupiec w te czasów, un buł za główny podrajczik! Oj, zieby ja tyle ścieścia miałem, wiele un ciecwierciów jednego owsa dostawiui! Tymczasem jemu psistawiali zborzie i drugie zidki, ciasem i ja, bu. wało, kupowałem od chłopcy wiela? dwadzieścia, trzydzieści korcy owies... to Fiszel zaraz wsistkich zabierał.

— Jednak robileś pan na tem dobre interesa?

— Na owies to może bić, ale na zito, to ja zrobiłem interes! — aj sy git interes! niech moje wrogi duzo takich interesów zrcią! Wie pan dobrodziej, jak to buło takie zawieruche, takie głupstwo — to trudno miałem szukać ziarno, co samo celne jest i su-

che, tymczasem u pana Pękalskiego, co trzymał w Wywrotkach dzierzawę, zdybiało się może sześćdziesiąt korcy takie zito, co było het zrosnięte i mokre, aż sze uno samo ruchało — to ja kupiałem jego, tak na oko, całe partye za jedne sto rubli.

— I cóż panu ztąd przyszło?

— Ja jemu kazałem krzynekę przesuszyc i odstawiłem dla Fiszla, a un oddał dla te dragony. Gamięta wielmożny pan te dragony, co niesili białe lam-pasów na kaśkiety?

— Pamiętam, pamiętam.

— Wszystko było bajki, zieby nie ich pułkownik; pewnie pan dobrodziej wie, taki wielgi był, z wąsami, co jemu siedzieli przy nos, jak dwa miotłów! To, panie, był bardzo gwałtowny człowiek! i zły jak całe wilk, może jeszcze gorsze nawet...

— Więc zapewne nie przyjął tego żyta?

— To, widzi pan, było takie mechanike, co un sam tego żyto nie widział, tylko, że ciasem to un lubił mieć swego fanaberyów...

— Fanaberye?

— Ny tak. Napsikład, raz to sze jemu zachciewało jeść sołjackiego chleba. Słuchał pan, co sze jemu zachciewało? To nawet nie pasowało na takie osobe... z takim wielgiem rangiem i honorem, żeby jeszcze ordynarne chleba, no, ale on miał swoje fanaberyów, jak un ksiknął: chleba! to zara sam wachmistrz poleciał i przyniesił jemu tego chleba. Akuranie un był z moje zito.

— I zapewne nie bardzo smaczny?

— Ny, dla taki chłopska gębe, jak żołdaty mają, to na co ma być lepszego? a'e na pułkownika,

to un naprawdę trochę kiepskie był. Jak un wziął jeno w zęby kawalek, tak zaczął pluć i bardzo hałas wielgi zrobił! Sprowadzili tego soldata, co za piekarz jest, przyniesili mąkę, przyniesili mojego żyta. Zrobiło się wielgiego giewaltu, a ten pułkownik to tak krzyczał, tak krzyczał, co aż wszystkie żołdaty frybre trzęsiuło! Jak un sze już wysapiuł, wydychał od tej zloszczy, tak powiedział do żołdatów, coby jemu przstawili podrajczika — w mig! Uni polecili, tymczasem Fiszla nie było, bo pojechał za zborziem, a ja akurat psijechałem w te chwile do miasto. Tak Fiszlowa powiada — ny, na co wam Fiszla? jest Jankiel, un także podrajczik. Ja nie chciałem iść, ale jak mnie trzy dragony złapili za kelnierz, to lciałem jak ptak.

— Spodziewam się.

— Ny, a co wielmożny pan miszli? czy ja miałem bić się z nimi? Przecie taki dragon to jest chłop, grubijan, może człowiekowi, broń Boże, rękę złomić! Więc tymczasem uni psiprowadzili mnie do pułkownika...

— Pewnie dobrze nakrzyczał na pana, panie Janklu?

— Niech Bóg zabroni! Un sobie już całkiem wysapiuł, już nie miał żadnej zloszczy. Pił sobie herbatę. Ja jemu pokloniłem się grzecznie, delikatnie... un kiwnął głowem i powiada: — a jak się macie podrajczik? wy porządny kupiec, wy ładnego zborzia przstawili. To ja się znów kłaniałem do niego i gadałem, co w każde chwyle moję z wielgiem akuratnościami, dla takie porządne wojsko i dla takie godne kunie, z to i owies psistawić... Un to słuchał, kiwa-

z głowem i powiada: da, da, wy jesteście bardzo dobre kupiec... wam jeszcze za tego zito należy się reszta... Ja mówiłem, co Bogu dzięki, Fiszle mnie wszystko zapłacił i co nie mam ziadne a ziadre pretensyów. Un rozeszmiął się bardzo brzydki i jak ksiknął: Wziąć jego na koniusznie! to nawet nie miałem czasu ksiknąć, aj waj! jak mnie te grubijany tam zaniesili!...

— Domyślam się jakiejś przykrej dla pana awantury.

— Tak, uno buło troche psikre. Mnie dali za tego zito 1e ztę... niedużo i niemało—same porcyne—jedne sto! Co to, panie, za cias był psakudny! bez sprawe, bez apelacye, bez sąd! To pfe buło! grubiaństwo! Skrziwdzone bułem; miałem w żupanie z tyłu bardzo porządne porcynełowe fajke, od samego Gdańska, to co pan dobrodziej powie? całe te fajke to uni mi potłukli na drobny mak!

— Ale właściwie to Fiszla powinno było spotkać; pan cierpiał za niego i on też zapewne wynagrodził panu tę krzywdę?

— Ny, ny, niech jego... on mi dał żydowską nagrodę! tyle co mi fajkę odkupił, a całe miasto to sobie trzęsiuło od szmichu, „zastępcem“ mnie żydy nazywali.

Pan Karol minę poważną zrobił, bo mu nie wypadało przecie śmiać się z tej przygody Jankłowej.

— Ny, tera to niech sam pan dobrodziej powie i w swoje delikatne głowe wymiarkuje, jakie jest na szwiecie wdzięczność?

— Jakto?

— Ny, my czerpili, my soti: poszwięcili, a tera,

jak trocha lepsze cias jest, to co my z tego interesu mamy?

— Nie rozumiem pana.

— Dżywuje sze bardzo, co pan nie rozumie! Tera właśnie szlachta toby chciała żyć przez nasze pomoc... Niech pan dobrodziej napsikład obaczy całe swoje majątek! Ma pan krowów, jest karczme, jest młyn— a gdzie żyd? żyda niema... Jemu wypędzili— a dlaczego jemu wypędzili? bo un brat, un wielg'e czerpienie miał, un sobie na głupstwo naraził... za to trzeba jemu odsunąć! trzeba tak kuźde rzecz w garszczy szczysnąć, żeby un nawet kawałek te głupie propinacye nie powachał! Trza tak wsistko zgniecić, zdu żyć, żeby my całkiem życie nie mieli! To jest git interes! to jest myłoszerdzie! to ludzkoszcz jest! Jak tak wsistkie panowie dęda robili, to gdzie my pójdziemy?

— Ależ, mój panie Jankiel, mogę naprzykład pana zapewnić, że jak pański syn będzie doktorem, to go każdy z nas wezwie i da mu zarobek uczciwy...

— No to co? to wsistkie żydy mają doktorziami być? a kto będzie chorował?

— Niekoniecznie; dlaczego nie mają być kowalami, rymarzami, dlaczego nie mają wyrabiać wozów, maszyn?

— Ny, co z tego? czy to handel, czy to nteres? czy od tego można mieć życie?

— Jeżeli im się to nie podoba, to niech rąbią drzewo, niech się uczą kosić, niech do żniwa idą, do sochy, niech kartofle kopia...

— Co wielmożny pan mówi pfe! czy to jest

żydowski interes? taka paskudna robota! czy to z tego może życie być?

— Jećnik są ludzie, którzy z tego żyją.

— To nie żydy, ale... z psieprosieniem osoby wielmożnego pana, co tu dużo gadać? ja chcę panu dać za propinacye, za młyn, za krowów trzydziści procent więcej, niż te dzisiejsze dzierzawce, za dwa lata z góry gotówką płacę!

Pan Karol się zamyślił.

— Nie, panie Jankiel — rzekł po chwili — nie zęodzę się na to, nie mogę ruszać ludzi spokojnych, którzy osiedlili się już tutaj i pracują uczciwie.

— To jest pańskie ostatnie słowo? — zapytał, wstając i biorąc czapkę do ręki.

— Najostatniejsze.

— Ny, to po co ja tu psijechałem?

— Z życiowości przecież, jakeś pan sam mówił, powitać mnie...

— Powitacz? powitacz?! ny, niech i tak będzie — pfe! żeby to nasze dziadki wiedzieli, toby sobie do góry nogami psiewrócili... Klaniem pana do brodzieja, klaniem pani. Os dy gesehen? — folwark przez žida, szwiat przez ludzie, dzień przez słońce!... Ladne ciasów jest!!!

Kiedy Jankiel na swej pięknej bryczce opuszczal Zarzecze, już cicha, pachnąca noc wiosenna zapadła.

We wsi migotały światełka, na niebie gwiazdy jaśniały, ponad łąkami i moczarami zaś wlokła się mgła biała, zmieniając się w różne fantastyczne kształty, niby obłok tuż ponad powierzchnią ziemi płynący.

Michel drzemał na koźle, Jankiel zaś milczał i rozmyślał, a tak się dalece w dumaniach swoich zagłębił, że nie spostrzegł nawet, iż porcelanowa fajka gdańska wysunęła mu się z ręki i trzęsła się a podskakiwała na dnie bryczki, z kąd mogła bardzo łatwo wypaść na gościniec i stać się łupem jakiego przechodnia.

Utonął Jankiel w myślach poważnych i ciężkich; machinalnie podnosił rękę do głowy, odchyłał czapkę i tarł czoło z całej mocy, pragnąc może ten nawal myśli i kwestyj różnych rozproszyć.

Szary świt już był, gdy się bryczka ku miasteczku zbliżała. Można już było dostrzedz smukłą wieżyczkę kościoła i wielką, murowaną, żółtą synagogę, przy której, jak piskłęta drobne przy kokoszy, tulily się małe domki żydowskie, w pół zapadłe, brudne, tonące w czarnych, jak smoła, kałużach.

Patrzył Jankiel zdala na miasteczko i trwogę jakąś uczuwał. Zdawało mu się, że ma sen przykry i że w tym śnie widzi, jak powoli, powoli, mieszkańcy tych domostw brudnych przestają beczynnienie wygrzewać się na słońcu, jak jakaś niewidzialna, ale żelazna ręka, biczem konieczności uzbrojona, zapędza ich do pracy, wytrąca z rąk złotodajną kwaterkę i wagę fałszywą i łokieć za krótki, jak pustoszeją hederdy... milknie szwargot... jednym słowem śnił, że się świat przewraca, że się kończy już, że lada moment wielki lewiatan machnie ogonem i cała ta niekształtna bryła ziemi, z gruntami, wodą, szlachtą, propinacją, chłopami i żydami, wyleci odrazu w powietrze...

Pod tem wrażeniem Jankiel przymykał powieki, c:u', że jakiś chłodny dreszcz wstrzasa jego ciałem, że mu dziwnie smutno na duszy, że jakaś przykra mara go przygniata... Zdawało mu się, że cały ten świat, w którym urodził się, wychował, wzrósł, trzęsie się, niby most oparty na słupach zbutwiałych, w które coraz to nowa lawa kry uderzy.

Smutno, smutno było Janklowi. Żalował tego miasteczka z całym jego strojem, żal mu było hederów dusznych i niechlujstwa i brudu, żal mu było atmosfery próżniactwa i łatwych dorobków.

Czuł, że mu lzy do oczu się cisną, widział, że świat taki jest czarny, brzydki, smutny, szkaradny... że już żyć chyba niewarto

Wtem kolo od bryczki gwałtownie uderzyło o kamień. Michel o mało z kozła nie spadł, a sam pan Jankiel, skutkiem niespodzianego wstrząśnienia, odrazu oczy otworzył.

W blaskach zarumienionej jutrzeńki ujrzał swoje ukochane miasteczko. Było ono równie brudne, równie brzydkie, jak wczoraj. Bure kozy przeglądały się w kałużach, w niektórych domach okiennice już otwierano, wróble grzebały w śmieciach, a szynkownie otwierały swe gościnne podwoje...

Jankiel poznał, że był ofiarą snu przykrego, że wszystko dotychczas pozostało, jak dawniej. Poprawił więc czapkę na głowie, uśmiechnął się szyderczo i rzekł z cicha, jak gdyby w odpowiedzi marom sennym:

— Nie tak prędko jeszcze...

IX.

Żbliża się, czytelniku, chwila, w której opuścimy już Zarzecze i jego mieszkańców; lecz, aby wykończyć ten obrazek, aby go módz ostatecznie zamknąć w ramki niewykwiłtne, proste i skromne, jak ciche życie wioskowe, należy jeszcze kilka szczegółów uzupełnić.

Przedewszystkiem zmieniło się tło samo. Na początku zabarwiał je blask słońca, co krwawiac się na zachodzie, zapowiadało dzień wietrzny, chłodny, gotów rzucać deszczem i piaskiem w zmęczone i niewyspane oczy pracowników, złamanych na duchu i smutnych; — dziś zaś światło równiejsze jest, bardziej spokojne, a i samo tło obrazka, chociaż w szarych barwach się trzyma, nie ma jednak na sobie plam czarnych zupełnie. W spokojnem, złotawem świetle zachodzącego słońca bieleje wioska z długim rzędem domów niskich o strzechach słomianych. Za wioską widać folwarczek porządny, ładnie zbudowany, czyściutki. Łąka pstrzy się milionami kwiatów, rzeka srebrem się przelewa, na pracowicie uprawnych łanach gęste, zwarte ściany zboża falują, kolysane łagodnem tchnieniem wiatru. Z oddalenia widać

wieżyczkę kościelną, na której złocony krzyż jaśnieje, z wieżyczki dochodzi odgłos wieczornego dzwonu.

Zresztą cicho, spokojnie—a nie jest to już marta, głucha cisza, co na cmentarzach mieszka, ale raczej cisza towarzysząca pracy i skupieniu ducha. Taki spokój bywa w głębiach lasów, o ile go łoskot burz nie przerywa. Drzewa milczą i rosą powoli, a każdy rok dorzuca im nowe słoje, rozwija konary i korzenie bardziej wgłąb ziemi zapuszcza.

Zosób, w tym obrazku naszkicowanych, zabrakło nam jednej — zanego starego żmujdzina. Nie zapomniano jednak o nim. Na ubogim cmentarzu w Dziundziszkach, na grobie Dyrdejki, postawiono piękny krzyż żelazny i zasadzono kilka wierzb płaczących. Nie mógł mieć stosowniejszego pomnika.

Żelazo było najwłaściwszym symbolem tego charakteru dzielnego i serca.

Na krzyżu znajdował się napis skromny — a młodzieńki wierzby szumiąły gałązkami nad grobem.

Lecz opuśćmy cmentarze i umarłych—ci niech odpoczywają w spokoju, którego może nigdy nie znali podczas doczesnej pielgrzymki—a pójdźmy natomiast między żywych, pójdźmy tam, gdzie młodość, do nadziei, a starość do wspomnień się uśmiecha.

W dworku zarzeckim gwarno jest dzisiaj i ludno. Szczery, wesoły śmiech, którym tylko młodość niezwarzona przedwcześnie, rozśmiać się umie, rozlega się tu, pod dachem niskim.

Dzieci państwa Karolów zjechały się razem. Wszystkie są w domu — a jakże niepodobne do

tych, któreśmy na początku niniejszego opowiadania poznali.

Helenkę już znamy jako piękną, dorosłą pannę, Władzia wesoła i figlarna jak zawsze, również powróciła do domu i długą sukienkę już przywdziała.

Janek między siostrami rej wodził. Agronom to już był przecież, wyższą szkołę rolniczą ukończył i tylko na czas krótki przyjechał do domu, gdyż miał zamiar w Poznańskie do pewnego wzorowego majątku na praktykę pojechać. Czas obecny to wakacje dla niego, wypoczynek krótki. Znaczną jednak część chwil wolnych poświęca ojcu. Po folwarku z nim chodzi, w pole jeździ, o zawodzie swym przyszłym rozmawia. Wieczorem za to jest dla matki i pięknych siostrzyczek, które kocha tak bardzo. Tak im wszystkim spokojnie, tak dobrze w tem zaciszu domowym, w tej wiosce cichej, milej, co się w cieniu lip starych i ogrodów kryje...

Ojciec i matka z pewną dumą spoglądają na tę młodzież hożą, cieszą się, widząc dzieci zgromadzone razem, a chwile tej uciechy policzone już są, bo Janek niebawem za chlebem w świat pójdzie, a pannieki, tylko patrzeć, jak dom opuszczają.

Helenka nawet już teraz zamyśla się często i roztargnioną bywa, gdyż do Zarzecza przyjeżdża młody człowiek z sąsiedztwa i jest bardzo dobrze przez państwa Karolów widziany. Oświadczy się niezawodnie i nie dostanie odmowy, nie dostanie z pewnością; Helenka musi o tem coś wiedzieć, gdyż się rumieni i gniewa na Władzię, która figlarna, jak

zawsze, z jej zamyślenia, z jej smutków przelotnych się śmieje...

I Władza również długo nie posiedzi w domu. Ladna i dobra dziewczyna podobać się musi, a gdy się w towarzystwie znajdzie, to niejedne oczy gonia za nią uparcie.

Rodzicom, gdy już samotni zostaną, gdy czas coraz szczodrzej głowy im posrebrzy, pozostanie tylko prócz pracy, do której przywykli, wspomnienie i kominek — no, i czasem dziecinny szczebiot wnuczków, ta może najmilsza nagroda, jaką człowiek po spełnieniu obowiązków względem dzieci otrzymuje.

Państwu Karolom w osamotnieniu towarzyszyć będzie stary Marcin, ten chłop srebrnowłosa, taki podeszły w lata, a jednak rzeźki jeszcze i zdrów. Tyle się przecież sochy w swoim życiu nadzwigał, tyle ciężką siekierą i cepami namachał, tyle niewygód użył, a jednak trzyma się jeszcze dzielnie i wielu młodszych od siebie pochował.

Pogrzebał też i babinę swoją, z którą co najmniej pół wieku zgodnie przeżył, bo chociaż, gdy się przy czem uparła, „przeperśwadował” jej po swojemu, niemniej jednak to na harmonię ich pożycia nie wpływało i uważanem było jako rzecz zwyczajna, jako wrażenie, które od czasu do czasu urozmaicało jednostajność życia.

Po stracie swej kobieciny Marcin jeszcze bardziej przywiązał się do dworku i do państwa Karolów, nawet nie codziennie na wieś zaglądał. Miał wprawdzie syna i córkę i kilkoro wnucząt jasnowłosych, pyzaty, ale i zięć i synowa niebardzo mu się „udali” — więc też dość zdaleka się trzymał.

Wnuczkom, ile razy do miasta jeździł, zawsze obwarzanków przywoził, ale im czasu nie poświęcał. Czasem tylko, w niedzielę, wieczorem, na wzgórek pod krzyż przychodził i zwabiwszy dzieciaki do siebie, pacierza je uczył — i na tem kończył się jego z najbliższą rodziną stosunek.

W folwarku za to był jak u siebie, cieszył się łaźdem powodzeniem, martwił suszą lub deszczem nie w porę, a gdy co do pana Karola o gospodarstwie mówił, to pola, inwentarz, zboże, nie inaczej jak „nasze” nazywał.

Dzieci bardzo też kochał. Kiedyś przypomniał Władzi „moranse” dawne i śmiał się dziadowina z panienki.

— Dyc ja wdowiec tera jezdem — mówił — ksiądz da ślub przez ambarasu i chwestyi; kiej mie panna Władziunia popierwej chciała, to jo mogę tera we cwartek przyjść w zaloty, a w sobotę zara na zapowiedzie zaniosę. Słówko się zekło, panienko, a tera, chcący nie chcący, trza za pannę młodą być...

Władzia się śmiała.

— Mój Marcinie — mówiła — wprawdzie zrobiłam wam zawód, ale wynagrodzę to — zamiast mojej ręki, dostaniecie za to kociołskiej wody do tabaki — zgoda?

— A juści, lepsy rydz niżli nic, a od złego dłużnika, to trza brać i łyka, jak to ludzie powiadają — zaś pachniąca tabaka to pono już dla starego najlepszego wesiele.

I delektował się stary ową tabaką pachnącą, a gdy Władzia odeszła, mówił do pana Karola:

— Mój Boże miłosierny, jak to porośło prędko, na pociechę wielmożnych państwa...

— Tak, tak Marcinie, czas idzie.

— Przez urazy, co wielmożny pan casu widzioł? ksynkę jeno; ale ja jesce nieboscyka pamiętom i wielmożnego pana, jak maluśkim dzieciokiem jesce był — i te dziatki pańskie, z nieboscykiem rządcą, niech se ta odpoczywa z Bogiem, tośmy na rękach nosili... Tyla się ludzi psewinęło, jedne pomarli, drugie posiwili, jense porośli, a cłek oto zyje i zyje, jak stare gruscysko na miedzy, co ją co roku chłop sochą zawadzi, a ona se zawdy jak stojala, tak stoi...

— Jak stara grusza na miedzy? ha, po części to i prawda, mój Marcinie.

— Bo juści ze nieco, jeno sprawiedliwa prawda, wielmożny panie.

— A wiesz-że ty, na co Pan Bóg ludziom niektórym, dobrym zwłaszcza, takie długie życie daje?

— A chtoby ta wolę Boską mógł pseniknąć, chto ją zgadnie.

— Domyślać się można. Widzisz bo, mój bracie, tam daleko cmentarz... krzyże na nim stoją i trawa na mogiłach porasta — a tu ot, wioska i życie, w każdej prawie chałupie kolebka.

— A juści je, mało nie w kuzdej izbie, a w drugiej to i ze dwie się zdybie.

— Więc pomiędzy kolebką a cmentarzem starość jest, która te dwie tak sprzeczne rzeczy łączy i jak nić wiąże je z sobą.

— Jak mić? — zapytał chłop zdziwiony — a bez

co taka mić je? nie mogę se jakoś pomiarkować tego dokumentnie.

— Posłuchaj, wytłómaczę ci, kiedyśmy się rozgadali o tem. Powiedz-żeż, kto młodego nauczy?

— Dyc stary...

— Kto mu powie, co się tu działo dawniej, jak ludzie żyli, pracowali, cierpieli?

— Juści ze stary, on jeno może se takie dawne historyje spamiętać.

— Widzisz więc, starość powinna być nauczycielką młodości, powinna czas dzisiejszy z dawnym łączyć — i dlatego to jest ona niby nić, łącząca to, co już było, z tem, co jest obecnie... teraz zrozumiałeś, Marcinie?

— Dyc tak to je, wielmożny panie, sprawiedliwie, zawdy my stare musimy młodych ucyc, bo przez tego toby się tak to wszycko rozwydrzyło, zeby, na to mówiący — kijem do kościoła i do roboty nie nagnał.

Długo na ten temat gwarzył pan Karol z Marcinem, bo też stary chłop, będący niejako patriarchą swej wioski, nietylko nicią tradycyi łączył z przeszłością terażniejszość, ale był także nicią, która wszystkie chaty z dworem łączyła, wpływem swym dopomógł niemało do u'żoenia stosunków sąsiedzkich, w sposób dla obu stron bardzo pożądany. A jednak nie było to tak łatwem, jak się zdaje. Nurtowały między ludźmi różne prądy, jak to się powszechnie po naszych wioskach działo, a i dzieje jeszcze; lecz odwracał je zawsze skutecznie wpływ Marcina, którego słuchano i szanowano we wsi.

Pan Karol, jakkolwiek obecny stan majątkowy

pozwalał mu na większe wydatki, jednak ani rządca, ani ekonomista nie trzymał, sam te obowiązki spełniał, tylko Marcin w dozorze go wyręczał, a pani Karolowa lub Helenka rachunki prowadziły, gdyż brak prawej ręki nie pozwalał kalece piśmieniem oddawać się zajęciom.

Oboje państwo prawie ciągle w domu przebywali, w sąsiedztwo nie jeździli często, bo i kółko sąsiadów dawnych, z którymi łączyły ich stosunki zażyłości, pokrewieństwa lub powinowactwa, przerodziło się znacznie. Jedni na bruk miejski poszli biedę klepać i szamotać się z losem przeciwnym, aby zdobyć kawałek powszedniego chleba; inni, zamożniejsi, nie chcieli prowadzić gospodarstwa w warunkach zmienionych a cięższych, więc pozamieniali ziemię na kapitały lub na domy w miastach i—wegotują beczynnici.

Liczba dawnych dworów i dworków zmniejszyła się, zmalala, z niejednego folwarku nie pozostało i śladu, a na miejscach, gdzie niegdyś bory gęste czerniły się zdaleka, dziś po gołym polu wiatr hula, lub też rozbija się o domki kolonistów niemców. W jednym dworze żyd siedzi, pachciarz dawny lub propinator, nie dbając o grunta i o gospodarstwo, resztki lasów niszczy i pustoszy; indziej zubożony przedsiębiorca lub rzemieślnik, co sielanki i życia wiejskiego zapragnął, topi zapracowane pieniądze, klnąc ziemię, z którą się zupełnie obchodzić nie umie; a są jeszcze i spekulanci, co na handel majątki kupują, rok posiedzą, obniszczą i znów w inne ręce puszczają, byle grosz jakiś zarobić.

Takich folwarków jak Zarzecze, co przetrwały

kłęski i podźwignęły się z ruin o własnej sile, niewiele — ale też co prawda—i niewielu było takich ludzi, jak Dyrdejko nieboszczyk, pracowitych, konsekwentnych, wytrwałych. To też owa garstka tych ocalonych weteranów niedoli trzyma się z sobą krzepko, złączona wspólnością tradycji, celów i przekonań—i żyje w swem kółeczku patryarchalnie, po dawnemu, krzepi się nawzajem i wzmaga.

W tej właśnie sferze żyli i państwo Karolowie, z niej pochodzi ów gość w Zarzeczu częsty, na którego Helenka dobrem oczkiem spogląda, w tej sferze i Władzia na swojego trafi—i Janek kiedyś towarzyszkę znajdzie.

Węzły przyjaźni i harmonii zacisną się mocniej, szereg bardziej zwartym, bardziej ściśniętym się stanie—i ugruntuje się braterstwo z krwi, z przekonań i z ducha, braterstwo pracy i zacności.

.....

Słońce zaszło pogodnie, na niebie gwiazdy już jaśnieją, cichy wietrzyk szeleści listkami. Noc nastaje cicha, pachnąca. Gdzieś tam jeszcze we wsi światełko miga w chatach, a we dworku we wszystkich oknach jasno.

Przed gankiem bryczka stoi w trzy dzielne konie zaprzężona, gotowa do drogi.

Konie z niecierpliwością wędzidła gryzą i kopytami w ziemię uderzają, wąsaty stangret coś koło siedzenia poprawia, a służąca coraz to jakiś nowy pakunczek do bryczki przynosi.

We dworku gwarno jakoś. Rozmowa ożywiona jest, wesola prawie; panienki śmieją się i żartują,

Janek dotrzymuje im placu, tylko matka jedna ogólnej wesołości nie dzieli i zamyśla się smętnie...

Biedne te matki! — tak często zamyślać się muszą...

Zamyśliła się smętnie—i niedziw, syn odjeżdżał na długo, na kilka lat może.

Tak rzadko mogła swego jedynaka widywać; od czasu gdy mundurek szkolny przywdział, już gościem tylko bywał w domu, gościem jest i dziś i zawsze takim tylko dla niej będzie. Kiedyś rodzinę sobie znajdzie i jej już serce całkowicie odda, a matce tylko wspomnienia zostaną.

A jednak wychowała go, wypieściła, wykolysała na rękach swych własnych...

Taka to już dola matek na świecie!

Niedziw więc, że obecnie tak smutnie pani Karolowa spogląda, że oczy jej łzami zachodzą—całuje głowę syna i jeszcze go żegna i jeszcze raz błogosławi na drogę.

Ojciec spokojniejszym się zdaje; jako mężczyzna, nie objawia uczuć swych łzami, lecz i jemu smutno. Ścisła silnie dłoń syna i rady mu daje ojcowskie, przypomina o obowiązkach, o pracy.

Zbyteczne przypomnienie co prawda, bo chłopak dobry z gruntu, a matka i Dyrdejko stary dobre w niego zasady wpoili. Będzie człowiek z Janka, bo do pracy wciągnięty, w twardej szkole chowany—rozkoszy za młodu nie użył.

Dyrdejko zawsze mu życie w barwach szarych malował, zamilowanie do pracy w niego wpajał, a w każdym niemal liście chłopca zachęcał, by o własnych siłach szedł, a na pomoc z domu się nie

ogładał. Janek słuchał tej rady—i im wyżej w naukach postępował, tem mniej kosztował rodziców, a od lat kilku sam się już z własnej pracy a ciężkiej, bo z lekcyj, utrzymywał.

Wychowany w takiej szkole i teraz idzie między ludzi pracą kawałek chleba zdobywać.

W tej chwili właśnie już się z rodzicami żegna, a i siostrzyczki, co się tak śmiały wesoło, teraz, gdy już godzina odjazdu nadchodzi, rzucają mu się na szyję, z płaczem prawie.

Cała rodzina na ganek wyszła. Janek raz jeszcze skłonił się wszystkim, na bryczkę wskoczył, konie ruszyły, a ojciec, matka i siostra stali przed domem, dopóki bryczka nie zniknęła w zakręcie lipowej alei.

Noc była piękna, letnia, przezroczysta niemal. W łagodnym jej półcieniu i półświecie od gwiazd i księżycy, można było dostrzedz wieżyczkę kościelną i rzekę szemrzącą tajemniczo, rzekę, której wody to ciemniejsze przybierały barwy, to mieniły się blaskami pożyczonemi z góry, od światła wiecznie jednemi szlakami dążących. Ze wzgórzej okolicę całą widać było—i topole wysokie przy ludzkich siedziobach, jak obeliski smukłe, i obracające się leniwie skrzydła wiatraków—a cały ten obraz, tak powszedni, a jednak tak szczególnie piękny, ujęty był w czarne ramy borów, otaczających wieńcem owo koło przestrzeni dla oka ludzkiego dostępne.

Janek spoglądał na te tak dobrze sobie znane widoki, nie bez tęsknoty pewnej. Ogładał się często po za siebie, czy nie dojrzy jeszcze światła migotających w oknach dworku.

Długo one błyszczały tej nocy — nikt bo jakos do snu nie miał ochoty.

I Marcin stary też nie spał. Pożegnawszy panicza, siadł na kamieniu i dumal...

O czym rozmyślał, któż zgadnie? Przed oczami jego przesuwala się długa, bardzo długa panorama najrozmaitszych obrazów. Tu się w tej wiosce urodził, wychował, całe życie w niej spędził, tu kiedyś stare kości na spoczynek położy — szerszego świata nie zaznał, a jednak widział tak duzo. A gdy do tego doda to, co z ust ojców i dziadów slyszal, to mu się w myśli wysuwają dzieje całe tego małego zakątka — i zarazem wszystkich takich zakątków dzieje.

W długim pasmie tych wspomnień tyle rozmaitych barw było: — jasnych i ognistych, krwawych i czarnych jak rozpacz — i szarych jak ta biedna ziemia, po której stąpamy.

Mały zakątek, mała garstka ludzi — a wspomnień smutnych tak duzo — ileż więc ich świat cały posiada?

Zląkł się chłop widać tego pytania, które mu się uparcie do głowy cisnęło, wstał i powoli, ciężkim krokiem, powlókł się ku wsi.

Poszedł ku swojej dawnej chacie, na wzgórek, na którym stał krzyż poczerńiały, z fundacyi jego rodziców. Staruszek to już był także, ale trzymał się jeszcze — umocniony, podparty.

Marcin czapkę zdjął, ukląkł na ziemi i w modlitwie zatonął.

Wiatr łagodny rozrzucał jego włosy srebrne,

chwytal na swe skrzydla westchnienia i niósł je daleko... daleko.

Chłop półgłosem się modlił i można było w ciszy nocnej doslyszec oderwane wyrazy:

— Zmarłym wiecne odpocnienie... zywym Twoje wspomozenie, a tym, chtëre cierpiące są i smutne — pociesenie daj, Panie...

Biegły w przestrzeń słowa serdecznej modlitwy prostaczej, a wtórowały im tajemnicze szmery uspioonej ziemi... te zagadkowe szept, które tylko sercem odczuc i zrozumiec można...



103248